



KAROL RICHTER

WOJNY I POKÓJ

Biblioteka  
Tygodnika Ilustrowanego

Wojny i pokój

**KAROL RICHEL**

Profesor Uniwersytetu Paryskiego

# WOJNY I POKÓJ

STUDYUM

NAD KWESTYĄ MIĘDZYNARODOWEGO SĄDU ROZJEMCZEGO



Przełożył **St. J. SZCZUTOWSKI**

BEZPŁATNY DODATEK DLA PRENUMERATORÓW TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

Druk Piotra Laskauera i S-ki. Nowy-Świat 41.

WARSZAWA  
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW—G. GEBETHNER I Sp.  
1904.

Дозволено Печатати  
Варшава, 20 Феврала 1902 г.



72541

K-52/77/78892

### Nota tłumacza.

Gdy sroży się wojna, cóż może stanowić stosowniejszy do rozważki i rozmowy przedmiot, jak kwestya powszechnego pokoju? A właśnie książka, którą czytelnikowi przedstawiamy, nadaje się do tego celu zupełnie.

Rozprawa profesora Richera p. t. *Les guerres et la paix* zajmuje w literaturze danego przedmiotu miejsce poważne, chociaż nie jest to dzieło naukowe w ścisłym znaczeniu wyrazu. Góruje w niem tendencya przekonywania nad wszechstronnem a obiektywnem badaniem; uczonego zaśłania propagator idei, trybun, usiłujący zapłodnić szeroką myśl społeczną szczytnem uczuciem miłości i sprawiedliwości.

Ten charakter czyni pracę Richeta zajmującą, jako próbę tego rodzaju literatury, u nas mało znanej, nadto zaś tłumaczy pewną jednostronność w traktowaniu rzeczy, jaka tu i owdzie w książce zauważyć się daje.

Ale rozprawa ta należy więcej do zakresu publicystyki bieżącej, niż właściwej literatury naukowej, nie jest to więc wada zasadnicza. Stąd również pochodzi, że autor w niektórych punktach czuje się skrepowanym

i przed bezwzględną konsekwencją swego rozumowania cofać się musi pod skrzydła kompromisu. Zachodzi to mianowicie w tych punktach, gdzie występują patryotyczne drażliwości Francuzów z doby dzisiejszej.

Apostołowi idei możnaby to poczytać za grzeszny oportunizm, ale publicyście politycznemu należy wybaczyć, tem bardziej, że stanowisko jego przedstawia się w tem oświetleniu sympatyczniej. Francya — musi odzyskać Alzację, a przeto wieczną erę pokoju powszechnego i sądów rozjemczych musi poprzedzić międzynarodowe wyrównanie krzywd i wymiar sprawiedliwości.

Pod względem przedmiotowym należy wspomnieć jeszcze, że idea przewodnia autora już po napisaniu książki niniejszej wzmogła się faktycznie. Trybunał rozjemczy międzynarodowy stały w Hadze jest już czynny, a chociaż niewiele dają mu do roboty, sam fakt istnienia takiej instytucji jest wielce znamieniem zjawiskiem. W ostatnich czasach przybywa też coraz więcej traktatów między poszczególnymi państwami, w których strony postanawiają oddawać na sąd polubowny ewentualne spory — co prawda — nie wszystkie jeszcze.

W każdym razie poglądy i dowodzenia autora tej rozprawy, zyskują cenne poparcie faktów.

## Wojny i pokój.

Definicja wojny daje się wyrazić krótko: jest to gwałt.

Zgłodniały wilk spotyka w lesie koźlę, rzuca się na nie, dusi i pożera. To jest wojna; albowiem na wojnie równowaga sił między walczącymi wcale nie jest zawarunkowaną. Przeciwnie — być od nieprzyjaciela silniejszym, potężniejszym, jest doskonałą i ze wszech miar pożądaną korzyścią.

Inny wilk spotyka zabójcę koźlęcia. Chce mu odebrać zdobycz. Warczy, pokazuje kły. Rozpoczyna się między nimi walka. I to jest wojna. Gdyż wojna nie wymaga wcale, ażeby zapaśnicy należeli do różnych gatunków lub rodzin. Bracia również mordują się bez miłosierdzia.

Z kolei zjawia się człowiek. Postanawia on ukarać wilka, który mu pożarł koźlę. Z kijem, nożem, strzelbą zawiązuje bój — i to jest także wojna.

Być może, iż prawo ma za sobą człowieka, nie wilk. Jednak nie dlatego zabije on wilka, że ma za sobą słuszność, lecz dlatego, że ma po temu siłę i środki. Gdyby był obarczony wszelkimi możliwymi zbro-

dniami, zwyciężyłby zupełnie tak samo — bo jest potężniejszy.

W tem właśnie leży istota wojny, iż zapewnia ona zwycięstwo sile, nie zaś sprawiedliwości.

Wojny między ludami niby cywilizowanymi, zarówno jak między dzikimi, istniały zawsze. Jak tylko oko historyi daleko w głąb wieków sięga, wszędzie widzi, iż ludzie zużywają siły, zdolności, odwagę na niszczenie się wzajemne.

Jest-że to dobre? Jest-że niezbędne? Oto pytania, na które postaramy się odpowiedzieć spokojnie i beznamiętnie. W tym celu zastanowimy się nad dwiema kwestyami: I. czy należy rządy świata pozostawić w mocy gwałtu? II. czy można wyobrazić sobie społeczeństwo, któremu za podstawę, jawnie lub ukrycie, nie służyłaby wojna?

Jeżeli zaś tak jest, to jakie środki mogą wprowadzić w czyn tę nową fazę społecznego bytu?...

## I.

### Przyczyny wojen.

Wojny, jak wszelkie spory, wszczynają się nie bez przyczyny; lecz przyczyna ta bywa zazwyczaj tak mało zaszczytna, iż rzadko kto przyznaje się do niej. W krainie urodzajnej osiada plemię dzikie. Zabiera się energicznie do uprawy roli, zasiewu ryżu, kopania studzien, budowy mieszkań i po pewnym czasie, dzięki pracy i przemyślności, osiąga pewien stopień dobrobytu. Wzbudza to zazdrość w plemienu sąsiednim, więc wypowiada ono pierwszemu wojnę. A w jakim celu? — W celu rabunku.

Otóż jest właśnie istotny punkt wyjścia każdej wojny, bez względu na to, czy idzie o plemię barbarzyńskie, czy o naród cywilizowany. Jedyne to jest różnica, że kiedy rabunek odbywa się w kolosalnych rozmiarach, wtedy przybiera inną nazwę: podboju, inicjatorowie zaś i kierownicy tego zorganizowanego rozbójnictwa tytułują się zdobywcami.

Aleksander Macedoński podbił Azyę Mniejszą, Persyę i Indye. Nie było to nic innego, jak wielki napad zbójceki.

Cezar podbił Galie. Wojna ta, prowadzona z krwiożerczym okrucieństwem, któremu równego nie ma w dziejach, była prosto zyskownym przedsięwzięciem. Wojny Cezara i Aleksandra, które tak dobrze opłaciły się obu, czyż mogły mieć inną przyczynę, niż złupienie słabego sąsiada? Wszakże Indusi i Persowie nie zagrażali w niczem królowi Macedonii. Brestończycy i Gallowie w niczem szkodzić nie mogli potęgę Rzymu.

Podbój więc jest tem samym, co rozbój, rabunek, kradzież. Zdobywcy w naiwności swojej niekiedy przyznają to sami. Tak np. Hiszpanie przybyli do Meksyku i Peru z jawnym zamiarem znalezienia złota, czyli złupienia bogactw narodów tubylczych, które też w części wymordowali, w części zamienili w niewolników.

Napoleon I, w ciągu piętnastu lat swojej bezgranicznej władzy, która całą Europę przywaliła wszystkiemi klęskami wojny, niejednokrotnie szczerze przyznawał się do chęci zagarnięcia świata. Ludwik XIV, Fryderyk II, Karol XII, Hannibal, Cezar, Aleksander, Cortez, Pizarro, Napoleon — wszyscy oni byli wielkimi zdobywcami, czyli inaczej prosto zbójcami gigantycznej miary. Nie przeczymy zresztą, iż podbój, dokonany przez ucywilizowany naród, różni się pod pewnym względem od łupieskiego napadu dzikiej hordy. W tym ostatnim wypadku — t. j. w hordzie — każdy z walczących po stronie zwycięskiej przynajmniej coś zyskuje. Ci, których los oszczędził podczas boju, dzielą między siebie łupy, mające im wynagrodzić niebezpieczeństwa i trudy; każdy może do chaty swojej zawlec kozę, butelkę wódki, kawał czerwonej materyi, wreszcie kobietę.

Tymczasem nasze wojny zaborcze nie zapewniają żadnych korzyści zwycięzcom, albo raczej zapewniają ją tylko jednemu człowiekowi, t. j. władcy, który wszczął i przeprowadził przedsięwzięcie. Zysk żołnierzy bywa natury bardzo wątpliwej. Odznaczenia honorowe, czasem jakiś niewielki dochodzik, dzień albo dwa używania, oto licha kompensata za tak długotrwałe... ciężkie niewygody i braki — oto wszystko, co podbój przynosi właściwym zdobywcom. Ma się rozumieć, iż dola tak świetna jest udziałem tylko wybranych, t. j. tych, którzy pozostali przy życiu i zdrowiu i rozporządzają jak dawniej wszystkimi członkami. Ci, którzy się do nich nie liczą, niekiedy zadowolili się muszą łaskawem słowem wodza lub dodatkową porcją wina po zwycięstwie.

Ażeby naród skłonić do podobnie nierozsądnego postąpienia, stosowane bywają nadługo przed rozpoczęciem akcji środki przygotowawcze, mające wzbudzić i rozwinąć wśród mas pewną kategorię uczuć sztucznych.

Dawniej nie potrzeba było uciekać się do takich ostrożności. Kiedy Ludwik XIV lub Karol V przedsiębrali nową wojnę, nigdy nie wyjaśniali poddanym motywów swojego postanowienia.

Obowiązek ten, nieco upokarzający, nie istniał dla nich, lub bowiem był od tego, żeby słuchał, a armia zaś od tego, żeby iść naprzód — gdy pan rozkaże. Nie było potrzeby szukać jakichkolwiek pozorów słuszności. W czasach nowszych jednakże ludy stały się nieco więcej wymagające. Pomimo całej uległości, jaką okazują, pomimo całej naiwności i łatwowierności, jakiej są jeszcze dotychczas pełne — trzeba je przecież jakoś przygotować do wielkiej rzezi. Zdobyw-

cy dzisiejsi, jeśli chcą w poddanych swoich mieć narzędzia powolne, muszą w nich wzbudzić naprzód uczucie, posiadające w pewnym kierunku moc czarodziejską, tak zwany: „honor narodowy“.

Otóż honor narodowy jest to poprostu miłość własna króla i pana, a król i pan bywa zazwyczaj niezmiernie wrażliwy na wszelkie urazy. Uśzczypliwy żart stanowił niejednokrotnie punkt wyjścia do licznych i krwawych rzezi. Przecinek, wypowiedziany pod adresem pani de Pompadour, dał powód do wielkiej wojny. Dowcipy, na które sobie pozwalały gazety angielskie względem Bonapartego, więcej niż wszystko inne skłoniły go do złamania pokoju zawartego w Amiens. Uderzenie wachlarzem stanowiło jeden z motywów podboju Algieru. Wcale nie ważniejszą była przyczyna, która w roku 1870 uczyniła Francję ofiarą jednej z najkrwawszych wojen, jakie są w dziejach znane. W tym wypadku zaszła przytem okoliczność jeszcze więcej niezwykła: oto obraza, o którą chodziło — wcale nie została wyrządzoną. Był to wymysł bezwstydnny, zbrodniczy, cyniczny Bismarcka, który niekzemnie puścił w obieg pogłoskę fałszywą, licząc na głupotę francuskiego rządu. I nie omylił się w rachubie — rząd ten uznał jako casus belli impertynencyę rzekomo wyrządzoną jego ambasadorowi. Ludy doszły do takiego stopienia umysłowego, iż pozwoliły wmówić w siebie, że narodowy honor ich jest związany z mniej lub więcej uprzejmem brzmieniem depesz dyplomatycznych, z zajściami na pograniczach, z obelżywą polemiką gazetarską!...

Honor narodu polegać winien na kulcie sprawiedliwości, na pracy naukowej, artystycznej i literackiej, na spotęgowaniu handlu, bogactwa i przemysłu; na

rozwoju dobrobytu, wolności i moralności pojedynczych obywateli. Ale wygodniej jest wskazywać jako punkt honoru drażliwości dyplomatyczne, gdyż wówczas na każde skinienie naród cały staje entuzjastycznie w pogotowiu wojennem i idzie posłusznie, gdzie mu wskażą.

W gruncie rzeczy, jak już powiedzieliśmy wyżej, wszystkie wojny, otwarcie lub skrycie, wypływają z żądz podboju. Kiedy Anglia walczy z Chinami, to chce narzucić im swoje towary i opium; gdy Stany Zjednoczone toczą wojnę z Hiszpanią, to zamierzają odebrać jej Kubę i Porto-Rico; Włochy wojują z Menelikiem po to, by wydrzeć mu część jego królestwa. Napoleon III przedsięwzięcie wyprawę do Meksyku jeśli nie w celu podboju, to w chęci osadzenia tam przynajmniej panującego wedle własnego uznania. Ażeby zamaskować te zamiary, używa się całego szeregu pełnych hipokryzyi frazesów i czerni się dużo papieru po to, by wydać się usprawiedliwionym, umiarkowanym, dobrym i rozsądnym. A lud, który jest tylko wielkiem dzieckiem, daje się łapać na piękne słówka, przyjmuje bez wahania wszystkie niedorzeczności, które słyższy, i wpada w nieopisany entuzjazm, gdy mu sypną w oczy „chwałę narodową“.

Zdarza się jednakże i tak, że przed ludem nie kryją bynajmniej, iż celem akcyi ma być pospolity rabunek. „Jeżeli nie opanujemy tego kraju słabego i bezbronnego, to kto inny go zagarnie“. Podziwu godne rozumowanie, które tak dokładnie odpowiada logice rzezimieszka, ściągającego portmonetkę: „Jeśli ja jej nie wezmę, to ją kto inny schowa do kieszeni. Dlaczego tym kimś nie mam być ja?“ — poczem zabiera woreczek bez skrupułu.



Zresztą bardzo jest łatwo najprostszą sprawę zakłócić w wysokim stopniu przez wprowadzenie pewnych półkłamstw, za pomocą których można wynaleźć dla każdej wojny powody nadzwyczaj szlachetne. Kiedy Amerykanie chcą zagarnąć Kubę, czynią nagle spostrzeżenie, że tyrania Hiszpanów przechodzi wszelkie granice, że lud tamtejszy wiedzie żywot męczeńsko-niewolniczy i Amerykanie uważają za swój obowiązek podjąć się roli wybawców. Austria, Rosya, Prusy i Anglia w roku 1792 zawiązały między sobą koalicję przeciwko Francji — ma się rozumieć dla obrony świętej sprawy. Trzebaż było poprzeć króla uciśnionego, ofiarę zbuntowanego ludu, trzebaż było usunąć z powierzchni ziemi barbarzyńców, którzy odważyli się obalić starodawny, odwieczny tron!...

Napoleon, tocząc wojnę z Hiszpanią, nadawał sobie również charakter wybawcy, spełniającego nieomal boskie posłannictwo zniesienia nieczemnego rządu.

Jak w wypadkach tu przytoczonych, możnaby znaleźć dla wszystkich innych, najbardziej nawet zbrodniczych wojen, obok przyczyn ukrytych i prawdziwych, które wszystkie dają się streścić w wyrazie rozbój — także powody inne, pozorne, przeznaczone do zamaskowania i przyozdobienia żądzy podboju. Jest to zadanie, nad którym usilnie pracują wszystkie rządy. Trzeba przyznać, że zadanie to z dniem każdym jest łatwiejsze, dzięki współdziałaniu prasy peryodycznej. Nowa ta potęga nabrała w naszych nowożytnych społeczeństwach niezwykłego znaczenia. Nieświadomi, którzy pośpiesznie układają te marne świstki, są tak doskonale wytresowani, że na sam dźwięk wyrazu „wojna“ podnoszą głos, krzyczą, oburzają się, unoszą, miotają krocie obelg przeciwko sąsiedniemu narodowi,

przypominają najstarsze motywy międzynarodowych nienawiści. Czyż w roku 1870 nie znalazły się w Niemczech dzienniki, wyrzucające Francuzom ich postąpienie względem niejakiego Konrada von Hohenstauffen, który żył ni mniej ni więcej tylko 5 wieków temu?... Czyż niema może u nas ludzi, którzy, w razie wybuchu jakiegoś sporu między Francją a któremkolwiek państwem, zaczną zaraz poszukiwać w czasach bliższych i dalszych najdziwaczniejszych danych, na uzasadnienie obecnej niechęci? A niestety, takich powodów nigdy nie braknie!

W pięciu stuleciach wstecz, żeby już nie cofać się dalej — ileż wzajemnych zbrodni, krzywd, prześladowań można wydobyć na światło dzienne i to bez żadnych naciągów, ściśle trzymając się historyi! To też bez wszelkiej trudności żądza podboju może przywdziać na siebie piękną szatę patriotyztu.

Dziennikarze, pełni złej wiary, przesądów, hipokryzyi, lekkomyślności, przychodzą w pomoc rządowi, a zawsze tylko lud, lud korny i pracowity, lud chłopski i rzemieślniczy opłaca swoją krwią i złotem wiarę w zwodnicze, złudne argumenty.

Podziwu godne są przyczyny niektórych wojen. Spór tak błahy, że z trudnością da się obecnie odszukać jakiś ślad jego w starych archiwach, niejednokrotnie dzięki dyplomacyi i prasie pociągał za sobą w konsekwencyi wielką, krwawą wojnę. Tak było między innymi w roku 1856, gdy Francya i Anglia wystąpiły oręźnie przeciwko Rosyi. Śmierć pięciukroć stu tysięcy ludzi i zmarnowanie pięciu do sześciu miliardów, stanowiło rezultat ostateczny tego zatargu.

W gruncie rzeczy były powody inne, ukryte, a jakże mało zaszczytne! Napoleon III chciał przez szczęśli-

wą wojnę i przymierze z Anglią umocnić swoją dynastję i zbrodniczo zagarniętą władzę. Anglikom szło o zapewnienie przewagi swemu handlowi i sparaliżowanie wpływów rosyjskich na Wschodzie. Pod tą, lub pod ową formą ukryta, jest to zawsze żądza podboju i gwałtu.

Wszystkie wielkie wojny przeszłości z podobnych wypływały źródeł. Boć i walki, przedsiębrane dla zatarowania zbytniego wzrostu cudzej potęgi, nie są w istocie swojej różne od przedsięwzięć zdobywczych. W ciągu dwóch wieków z górą, od Karola V do Napoleona III, Europa ociekiała krwią i dymiała zgliszczami wyłącznie tylko w tym celu, żeby nie wzmógł się zanadto w siły dom Habsburgów, a podręczniki historii Francji z dumą opowiadają ten fragment narodowych dziejów. Zresztą, trzeba przyznać, że występki był równy z obu stron; z jednej występowali cesarze rzymsko-niemieccy, chciwi, krwiożerczy, usiłujący narzucić swoje panowanie — i to jakie! — wszędzie: we Flandryi, Lombardyi, Bawaryi, Polsce; z drugiej — królowie Francji, starający się temu przeszkodzić. I dlatego tysiące, dziesiątki i setki tysięcy chłopów pozbawiono dachu nad głową, skazano na konanie z głodu, na ostateczną nędzę — i dlatego tysiące, dziesiątki i setki tysięcy żołnierzy zginęło i zgniło na polach bitew. Co tych biedaków obchodzili Habsburgowie i Burboni? Wojna o wpływy, la guerre d'influence, jest przedsięwzięciem jeszcze mniej uzasadnionem, niż wojna zaboreza. Ta ostatnia zapewnia zyski chociaż wodzom zwycięskim, wojna zaś o wpływy nikomu nic nie daje; pozytywny jej rezultat jest prawie żaden, bo ostatecznie osłabienie sąsiada stanowi dość nieszczególne zadosyćuczynienie.

A jednak to jest wszystko, do czego mogą doprowadzić wojny o wpływy. Oto, co się nazywa podtrzymywaniem równowagi europejskiej. Życie milionów ludzi poświęcono tej sprawie.

Wśród rozmaitych postaci wojny, najłatwiejszą do usprawiedliwienia i wytłumaczenia jest jeszcze wojna domowa. Przynajmniej ludzie, którzy się biją między sobą, wiedzą, o co im idzie. Jedni chcą być na mszy, drudzy na kazaniu i w niewyrozumiałości swojej nie chcą jedni drugim przyznać swobody postępowania; ci, którzy chodzą na mszę, chcą, ażeby wszyscy odmawiali credo, ci zaś, którzy przekładają kazanie, chcą, żeby wszyscy wstąpili w ślady Lutra i Kalwina. Stąd — wojna. Ale w wojnie tej każdy z żołnierzy walczy chociaż o swoją wiarę, jakkolwiek nie tolerancyjnąby ona była. To jest barbarzyństwo, ale nie głupota. Z jednej strony stają stronnicy Gwizyuszów, z drugiej przyjaciele dynastji Valois; jedni i drudzy gotowi są życie poświęcić dla pana, którego sobie obrali. Tak samo np. Stany Zjednoczone Północy żądają zniesienia niewolnictwa — Stany Południowe życzą sobie utrzymania nadal tej instytucji. Są to motywy nieporozumień daleko poważniejsze, niż przewaga dyplomatyczna tego lub owego państwa i w rezultacie można je uważać za mniej godne potępienia od czysto napastniczych podbojów.

Nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby wojny domowe miały zasługiwać na pochwałę, i sądzimy, iż nikt w ten sposób nie zechce nas rozumieć. Utrzymujemy tylko, że przyczyny walk tego rodzaju nie są

Wojny i pokój.



blahe i śmieszne, że na dnie ich leży rzeczywista namiętność lub nietolerancja, rzeczy niezbyt szlachetne, zapewne, lecz w każdym razie lepsze od naiwnych intryg dyplomatycznych, lub osobistych ambicji.

Prawdę powiedziawszy, rozpatrywaliśmy dotychczas tylko jedną stronę zagadnienia. Sprawiedliwość wymaga, ażeby zastanowić się i nad drugą. Rzeczywiście, w każdej wojnie prócz napastnika jest jeszcze napastowany. Prusy i Austria atakują Danię. Cóż ma robić ta ostatnia, jeśli nie bronić się? Armia związkowa wkracza do Francji w roku 1792. Czyż nie należy jej odeprzeć? Napoleon chce narzucić Hiszpanii rządy króla-Francuza, podatki i pobór rekruta. Obrona Hiszpanii jest wówczas najzupełniej słuszną. Duńczycy przeciwko Prusom i Austrii, Rzeczpospolita francuska przeciwko związkowym, Hiszpanie przeciw Napoleonowi obowiązani są bronić ojczyzny i wówczas to wojna ze złej staje się świętą. Niema w tem żadnej sprzeczności z zapatrywaniem, któreśmy wygłosili wyżej. W istocie, ażeby jakiś naród był wystawiony na napaść, musi się znaleźć drugi naród, któryby zechciał popełnić niesprawiedliwość. Gdyby żadna niesprawiedliwość nigdy popełniona nie została, nie byłoby wojen, tak, że wojna, słuszną ze strony tego, kto się broni, za logiczny punkt wyjścia musi zawsze mieć czyjś postępek zbrodniczy. Wilk napada koźle. Koźle broni się jak może. Jeżeli mówię, że ta walka jest wstrętną, nikt chyba nie przypuści, iż uważam ją za taką dlatego, że koźle usiłuje się bronić. Zresztą, przeciwnicy zwykle tak szczerze szafują złą wiarą, obelgami i kłamstwem, że często staje się niemożliwym rozróżnić napastnika od napastowa-

Niema wątpliwości, że podczas koalicji przeciwko Rzeczypospolitej francuskiej w roku 1792 napastowali związkowi, zarówno jak Prusy i Austria w kampanii duńskiej, jak Napoleon w wojnie hiszpańskiej; najczęściej jednak winne są obie strony. Kiedy w rodzinie pokłóci się dwoje dzieci, zazwyczaj trudno jest orzec, kto pierwszy zaczął i dlatego najpraktyczniej wychodzi się z kłopotu, karząc zarówno jedno i drugie. Pierwszy z kłótników drażnił i prowokował — drugi był brutalny i popędliwy. Któż bardziej zawinił? Bez wątplenia obaj zawinili. Również jakabądź licha okazywa może przerodzić się w casus belli, jeżeli zostanie zręcznie wykreconą w pełnych uniesień i kłamstwa polemikach prasy.

Zdarza się wszelako, że wypowiedzenie wojny posiada pozory słuszności.

Naprzykład, barbarzyństwo Turków rozlewa potokami krew bezbronych Ormian. Niechże naród jakiś stanie w ich obronie i, dzięki temu, zmuszonym się ujrzy wypowiedzieć wojnę Turcyi — czyż można będzie tę wojnę nazwać niesprawiedliwą? Alzateczycy, uciskani przez Niemców, nie chcą znosić ich jarzma. Czyż wojna wypowiedziana w celu oswobodzenia nasyżych uciemiężonych rodaków byłaby niesłuszną? Istnieje więc pewna kategoria wojen, których przyczyny są do pewnego stopnia usprawiedliwione. Ma to miejsce w tym mianowicie wypadku, gdy ktoś bierze na siebie rolę mściciela i bezinteresownego wybawcy słabych i uciśnionych. Lecz, niestety, wojny takie są niezmiernie rzadkie, właściwie zaś niema ich wcale! Oswobodziciele, którzy po spełnieniu czynu usuwają się z próżnemi rękoma, nie zatrzymując sobie żadnej



provincyi, nie pakując do kieszeni miliardów — są mi dotychczas nieznani.

Może zresztą grzeszę ignorancją? Może znajdują się gdzieś w dziejach świata wojny przedsiębrane w sprawie czystej, po których ukończeniu zwycięzcy odchodzili bez zapłaty?

Ja jednak o nich nie wiem i proszę poinformowanych, ażeby zechcieli mi podać odpowiedni wykaz.

Tylko w oderwanej teorii można twierdzić, że wojna nadaje się do naprawy krzywdy. Faktycznie bywa ona zawsze, lub prawie zawsze narzędziem gwałtu. Napoleon III uwolnił Lombardję z pod jarzma austriackiego, lecz zagarnął dla siebie Sabaudję. Stany Zjednoczone utrzymują, że podjęły się zrzucić jarzmo hiszpańskie, ciężące nad Kubą, a kończą na aneksyi Kuby, Porto-Rico i Filipin.

Kto zechce zadać sobie trud wejrzenia głębiej w istotę tych dzieł oswabadzania, przekona się, że podstawa, z której one wyrosły, jest zawsze gwałt. Jeżeli istnieją na świecie ludy wdychające do wyzwolenia, to dlatego, iż ludy te są uciśnione; ucisk zaś, któremu podlegają, jest prawie zawsze skutkiem jakiejś uprzedniej wojny. Fatalną właściwość każdego podboju stanowi to, iż pociąga on za sobą cały szereg wojen nowych i boje staczane o czyjąś wolność nie miałyby żadnej racyi bytu, gdyby nie wynikały, jako następstwa konieczne wojen zaborczych dawniejszych.

A przytem — ale to jest kwestya, nad którą będziemy jeszcze dyskutowali — czy gwałt należy odpierać gwałtem? Co za łańcuch nierozzerwalny, złożony z ogniw zła i nędzy powstałby, gdyby na wy-

stępek nie było innego lekarstwa, jak tylko występek drugi?

Jakkolwiek zresztą postawimy kwestyę, jakiegokolwiek byłoby dowodzenie nasze — jedno jest pewne i niezbite — że wojna to gwałt. Należy więc przekonać się, czy gwałt ten jest rzeczywiście niezbędny?

## II.

### Skutki wojen.

Urodziło się dziecko. Ażeby wydać je na świat, matka przeniosła nieopisane cierpienia, lecz z chwilą, gdy oczy jej ujrzały długo oczekiwaną, drobną istotkę, zapomina o wszystkim. Rodzina otacza kolyskę. Nad domem zawisła nadzieja. Razem z nadzieją przychodzą troski, niepokoje, wydatki. Choroby czyhają na swą ofarę. Dziecko trzeba strzedz, bronić przed wszelkiem niebezpieczeństwem, odziewać je, karmić, uczyć trochę, usuwać mu z drogi przykrości i bóle — wszystko to jest kłopot nieustanny.

Ojciec i matka rywalizują ze sobą poświęceniem i zaparciem się własnych potrzeb. Jeżeli ojciec, zatopiony w pracy na chleb powszedni, szczeni sobie chwil spoczynku — czyni to przez miłość dla syna. Jeżeli matka pracuje bez wytchnienia dniem i nocą — skłania ją do tego myśl o synu. Ten syn jest przyszłością, nadzieją, celem najwyższym życia dwojga istot. Syn rośnie: oto liczy lat dziesięć, piętnaście, wreszcie dwadzieścia. Nadchodzi chwila, kiedy rodzice, teraz już prawie starcy, otrzymują zapłatę za swoje trudy.

Dziecię stało się mężczyzną, który będzie teraz mógł wziąć się do pracy, ażeby ulżyć wysiłkom rodziców. Jest on dumą i radością dwojga biednych starych, którzy poświęcili mu wszystko od lat dwudziestu. Nagle dziecko to zostaje im brutalnie odebrane przez prawo. Wywożą je na długo, na lat trzy, na lat pięć; wywożą je daleko i rodzice, zamiast oczekiwanej od niego pomocy, są zmuszeni od czasu do czasu posyłać mu drobne zapomogi.

Do myśli ich o synu zaczyna się już mieszać ponura, bolesna gorycz. Nie mogą pojąć, co za fatalność pochwycała to dziecko i uniosła precz od nich.

Potem, ni stąd ni zowąd, wskutek powikłań dyplomatycznych, krzykactwa dzienników, ambicyi jakiegoś zdobywcy, wybucha wojna. Dlaczego? Nikt nie wie na pewno. Wiadomo tylko, że wojna jest. Po upływie jakiegoś czasu, pewien piękny poranek przynosi wiadomość o stoczeniu wielkiej bitwy. Sto tysięcy młodych ludzi kona w polach. Jedni z nich mają roztrzaskane głowy, inni rozdarte brzuchy lub poddrywane kończyny. I dziecię wielbione, podpora i nadzieja starości, razem z braćmi, pod ręką braci legło pomiędzy trupami. Długie, ciężkie lata troski i zaparcia obrócone są w niwecz, strzaskane jednym uderzeniem. Młody żołnierz zginął. Co za straszna żałoba i co za potworne pomnożenie żałoby! Bo jedna śmierć — to jeszcze nic, ale dziesięć śmierci, ale sto tysięcy śmierci!...

Ażeby wyrobić sobie jakkolwiek zbliżone do prawdy pojęcie o tem, czem jest hekatomba ze stu tysięcy trupów (w bitwie pod Lipskiem poległo sto tysięcy ludzi), przypuścimy na chwilę, że zdobywca w poczuciu swojej winy zechciałby wstępować do ka-

zdej chaty ze słowem pociechy dla matki, której syna posłał na śmierć. Przypuścimy dalej, że wystarczy mu jedna minuta na pocieszenie zbolalej kobiety i wytłomaczenie swego występnego czynu.

Przyznacie, że nie jest to chyba czas zbyt długi na prośbę o przebaczenie morderstwa? Jedna minuta dla starcia łez, w których tonie cała rodzina! Nie można jednak tracić za dużo czasu.

A więc, jeżeli wyobrazimy sobie, że temu dziełu pokuty i zadosyćczynienia poświęci on dwanaście godzin dziennie, to nawet w takich warunkach spotrzebuje on sześć miesięcy, sześć długich miesięcy na ulżenie swemu sumieniu.

Przed kilku laty zdarzył się w Paryżu wielki pożar bazaru de la Charité. W płomieniach zginęło kilka szlachetnych kobiet, należących do najwyższych sfer towarzyskich stolicy. Ciężką żałobą okryło się miasto.

Zaprzestano prowadzenia interesów. Zamknięto teatry. Dzienniki przez pewien czas nie mówiły o niczem innem. Tragiczny ten wypadek, zupełnie zresztą słusznie, wywołał ogólne przygnębienie. Panujący nadsyłali telegramy kondolencyjne; nieszczęście było wyłącznym tematem rozmów w ciągu całego tygodnia. A jednak pożar bazaru de la Charité jest drobnostką, dzieciństwem, fraszką w zestawieniu z rezultatem wielkiej bitwy, cóż dopiero całej wielkiej wojny! Gdybyśmy policzyli ofiary katastrofy w roku 1870, przekonalibyśmy się, że pożar bazaru de la Charité musiałby się powtarzać dzień w dzień, bez przerwy w ciągu całych długich lat dwudziestu, ażeby zgładzić ze świata liczbę istnień ludzkich równą tej, którą pochłonęła wymieniona wojna. Proszę so-

bie teraz wyobrazić owego potwora — Bismarcka, faktycznego, osobiście odpowiedzialnego, sprawcę tej klęski! Wszakże jest to wszystko jedno, jak gdyby nędznik ten codziennie przez lat dwadzieścia własną ręką wznicał pożar, w którego płomieniach ginie 200 osób!

Tak się przedstawia jeden z najbardziej bezpośrednich skutków wojny. Nie myślą o nim w pierwszej chwili literaci, dziennikarze, akademicy i kandydaci do krzeseł w Akademjach, nie zajmują się wcale prostym żołnierzem z jakiejś zapadłej wioski departamentów Cotes-du-Nord lub Landes. Skarga matek i braci nie dochodzi ich uszu. Jest to zresztą boleś wstrzemięźliwa, milcząca, fatalistyczna, która się nie narzuca i nie krępuje. To też mimo całego swego bezmiernego ogromu mija ona zwykle bez odpowiedniego wrażenia, o ile nie wzruszy się nią jaki poeta-ideolog lub filozof-marzyciel! Boleś ta staje się „quantité négligeable”. Piszący zwycięski biuletyn z zadowoleniem wzmiankuje, że „z naszej strony było tylko trzy tysiące zabitych, podczas gdy nieprzyjaciel stracił siedm tysięcy”. Na usta występuje błogi uśmiech. Trzy tysiące ludzi! Cóż to znaczy?

Ma się rozumieć, że pomordowani żołnierze nieprzyjacielscy przestają strzelać, znajdują się więc zapewne patryoci, którzy powtórzą znane wyrażenie, tegoż samego wstrętnego Bismarcka, dane przezeń w odpowiedzi na relację o śmierci pewnego żołnierza francuskiego: „Zawsze to jeden mniej”.

Trudno znaleźć coś bardziej budującego pod tym względem, jak ów zupełny brak ceremonii, z jakim pisarze traktują rzezie, łupiestwa i głód, towarzyszące zwykle wojnie. Z jakim uwielbieniem opowiadają oni o pochodzie Cezara przez Gallie: „Miasto zostało zni-

szczone, a mieszkańcy wymordowani. Całą okolicę obrócono w perzynę”. I historyk z zadowoloną dumą zapewnia, że nikt nie uszedł żywy ze stutysięcznej ludności prowincyi.

Kiedy Napoleon przekroczył Niemen, liczba żołnierzy, których zdołał zgromadzić koło siebie, wynosiła do 700 tysięcy. Autorowie nie wiedzą poprostu, jaki dać wyraz swemu uwielbieniu. Siedmet tysięcy ludzi! Ależ to cud! Co za świetny tryumf nad olbrzymiemi trudnościami materyalnemi stanowi wyżywienie siedmuset tysięcy ludzi, zorganizowanie komendy, dostawy amunicyi, intendentury. Co za niesłychana rzecz ten pobór Francuzów i Włochów, Bawarów i Polaków, Sasów i Duńczyków, Hiszpanów i Flamandów. Żadne dytyramby nie zdołają godnie uczcić tego dzieła. Tymczasem — wiadomo, jakie były następstwa tego cudu. W pół roku później cóż pozostało z siedmuset tysięcy ludzi? Trzydzieści trzy tysiące — tak, trzydzieści trzy tysiące zaledwie! Inni zginęli w strasznych męczarniach, przeniósłszy nędzę niewysłowioną, okaleczeni, zmarzli, darcł kartaczami i konający w śniegu, pożerani przez kruki i tyfus. Oto, czem jest wojna! Cóż na to mówią historycy tej kampanii? Jeżeli pozwalają sobie na jakąś krytykę, to bynajmniej nie z powodu śmierci tych siedmuset tysięcy, lecz ze względów strategicznych i politycznych. Gdyby kampania rosyjska skończyła się była złamaniem potęgi rosyjskiej, choćby za cenę tej hekatombi straszliwej — nie ulega wątpliwości, że historia rozplywałaby się w uniesieniach bez zastrzeżeń i może nie znalazłaby się ani jedna książka ze słowem nagany lub potępienia dla Napoleona!

Niedawno podczas wojny hiszpańsko-amerykań-

skiej zniszczono część floty hiszpańskiej. Pięć, czy sześć okrętów zostało spalonych, rozsadzonych torpedami, zatopionych. Zginęło trzy tysiące marynarzy. Śmierć tych nieszczęśliwych nie zwróciła prawie niczyjej uwagi, podczas gdy równoczesne zatonięcie parowca „Bourgogne“, które kosztowało życie około 400 osób, wywołało ogólne przerażenie i wstrząsnęło wszystkimi do głębi. Czyżby dzielni marynarze hiszpańscy mniej zasługiwali na współczucie, niż pasażerowie „Burgundyi“? Na historykach i dziennikarzach ciąży odpowiedzialność za zбочenie opinii, które każe zapatrywać się na śmierć żołnierza, jako na rzecz zwykłą, prostą i naturalną. Od tego jest wojna, ot i wszystko! Niema racji litować się nad nimi. Stąd idzie pobłażliwość dla wielkich ludożerców takich, jak Aleksander, Cezar, Attylla, Napoleon, Bismarck. Zdają się oni posiadać prawo do jakichś względów szczególnych!

Kiedy nikczemny ojciec znęca się nad swem dzieckiem, katuje je i przyprawia o głodową śmierć, ludzie wydają okrzyk zgrozy. Tłum otacza wehikuł, na którym zbrodniarza wiozą do trybunału i krzyczą: „Na śmierć z mordercą!“ Na śmierć!“ Jeżeli sąd nie odda go w ręce oprawcy, cała prasa nie posiada się z oburzenia. Biedne zamęczone dziecko znajduje miliony obrońców. I jest to słuszne; jest to dobre! Ale dlaczego człowiek, który zamiast jednego dziecka morduje ich sto tysięcy, lub milion, uważany jest za wielkiego człowieka?

Straszliwy Vacher, ów krwiożerczy brutal, nieodpowiedzialny zresztą, który popełnił trzydzieści wstrętnych morderstw, jest ohydny potworem. Proszę jednak zestawzić trzydzieści ofiar z dwoma milio-

nami ludzi przyprawionych o śmierć przez Aleksandra W. Ja się nie waham i wyżej stawiam Vachera od Aleksandra Wielkiego! Może ktoś powie, że śmierć żołnierza na polu bitwy jest pełną chwały i godną zaszczości, że umierać za ojczyznę lub króla z bronią w rękę, z twarzą, obróconą na wroga, jest zaszczytem nieporównanym. Niestety! Płuź z pomiędzy tych biednych żołnierzy pada, nie zaznawszy dumy bojowej, gnijąc w szpitalu lub oborze na tyfus, szkorbut, ospę, cholere, żółtą febrę! Bo orszak strasznych chorób, towarzyszy każdej wojnie i godzien jest jej zaiste!

Ci, którzy opiewają chwałę wojenną, czy wiedzą o tem, że od nieprzyjacielskiego ognia ginie zaledwie piąta część ogólnej liczby ofiar kampanii? Za czasów Homera, za czasów Rycerstwa, gdy dwaj okryci zbroją bohaterowie ścierali się ramię z ramieniem, mieczem i kopią, o zwycięstwie decydowała odwaga i zręczność. Był jakiś zaszczyt w walce, w tryumfie, była może nawet jakaś dzika rozkosz w tym boju. Lecz jaką wielkością ducha, jakim powodzeniem energii fizycznej poszczycić się może nieszczęśnik, charczący na brudnym tapczanie, obalony przez tyfus lub cholere? Jakkolwiek ohydny byłby widok pobojowiska, nie może on iść w porównanie z wrażeniem, jakiego się doznaje w baraku szpitalnym, gdzie są złożeni chorzy. Nic niema wstrętniejszego. Wszyscy, którzy widzieli sceny podobne, jeżeli mają jeszcze odrobinę serca, czy inteligencyi, muszą uważać wojnę za najpotworniejsze ze zбочeń ludzkich.

Ścisłe obliczenie w cyfrach ofiar wojen jest niemożliwe; ale możemy poprzestać na przybliżonym rachunku, który wykaże ofiary w ludziach, jakie pochłonęły wojny ubiegłego stulecia.



Wojny napoleońskie (1799 — 1815)

Francuzi . . . . .	3.000.000
Cudzoziemcy . . . . .	5.000.000
Wojna rosyjska 1854 . . . . .	800.000
Wojna włoska . . . . .	300.000
Wojna pruska . . . . .	300.000
Wojna secesyjna . . . . .	500.000
Wojna 1870 r. . . . .	800.000
Wojna turecko-rosyjska . . . . .	400.000
Wojny domowe ameryk.-połud. . . . .	500.000
Wojny kolonialne (Indye, Meksyk, Algier, Abisynia, Transwal, Jawa, Madagaskar) . . . . .	3.000.000
Razem . . . . .	15.000.000

A więc wojny w ciągu wieku pochłonęły piętnaście milionów ofiar!

Któż są ci męczennicy wojny? Młodzi ludzie od lat 20 do 30, najsilniejsi, najlepiej zbudowani i dodajmy to natychmiast — najdzielniejsi — bo waleczni i odważni bardziej są wystawieni na działanie pocisków i trudy, niż leniwecy i tchórze.

Piętnaście milionów ludzi w ciągu wieku! To znaczy trzysta trupów dziennie. Tak jakby codziennie, że użyję jeszcze raz wyżej przytoczonego porównania, zdarzał się pożar bazaru de la Charité lub zatonięcie „Burgundyi“.

Wojna pociąga za sobą jeszcze inne następstwa, oprócz bezmiernej boleści ludzkiej. Ona nietylko czyni sieroty i wdowy, ona wytwarza jeszcze nędzarzy. Pokój zbrojny jest ojcem moralnej i materyjalnej nędzy, trapiącej naszą, niewykształconą cywilizację. Militarizm jest krwawiącą raną naszych społeczeństw no-

wożytnych, jest przedłużeniem stanu dzikości, jest podtrzymaniem brutalnego barbarzyństwa pierwotnych ludów, o tyle od niego groźniejszym, że posiada uczonej organizację.

Myliłby się bardzo, ktoby chciał widzieć w słowach powyższych niechęć czy wzgardę dla armii. Któż z nas byłby w stanie gardzić oficerami lub żołnierzem?

Żołnierze, prości żołnierze, kimże są oni, jeśli nie narodem całym? Z chwilą wprowadzenia powszechnej służby wojskowej, wszyscy zdrowi mężczyźni w wieku od lat 20 do 24 znajdują się pod chorągwiami; niema więc żadnej racji wyróżniać tych młodzieńców, jako klasę odrębną od ludności cywilnej, z której wyszli wczoraj i do której powrócą jutro. Chłopi, rzemieślnicy, mieszczenie, wszyscy w określonej chwili życia byli żołnierzami, zatem armia narodowa nie jest niczem innym, jak narodem samym.

Natomiast korpus oficerski stanowi prawdziwą korporację, wyraźnie różniącą się od ludności cywilnej. Korporacja ta jednak reprezentuje pod pewnym względem kwiat narodu. Podniosłością swoich uczuć i godnością życia zasługują oni często na szacunek i poważanie, którymi we wszystkich krajach są otaczani. Stanowisko oficerów jest nawet bardzo przykre. Po większej części otrzymali oni wykształcenie naukowe świetne, dali dowody swej inteligencji i uzdolnienia, a czas im upływa na pracach wątpliwej wartości i śmiesznych rutynicznych praktykach.

To tak samo, jakbyśmy wielkimi kosztami zbudowali kolosalną maszynę, o doskonałej i skomplikowanej konstrukcyi, nad którą pracowaliby najbardziej doświadczeni inżynierowie, najwprawniejsi robotnicy, a następnie przeznaczili ten cudowny mechanizm do wy-

konywania pracy bezcelowej. Czyż można się nim w takich warunkach dalej zachwycać? Nie przecząc wartości moralnej pracowników, musielibyśmy przecież oburzyć się bezsensownością owej maszyny, pochłaniającej w bezpłodnym wysiłku tyle energii i rozumu!

Wszystko zatem, co powiemy przeciw militaryzmowi, nie powinno być tłumaczone jako wyraz niechęci dla armii. Jeśli oświadczamy wyraźnie, że nasza organizacja militarna jest niegodną cywilizacji, jeżeli wstąpi i obrzydzenie czujemy do wojny, to nie pociąga za sobą ani pogardy, ani nagany dla oficerów. Wielu z pomiędzy nich zasługuje na szacunek, niejeden na uwielbienie. Niechajże to będzie jasno stwierdzone, ażeby niemożliwem było nieporozumienie.

Zastanówmy się teraz nad materyalnymi i moralnymi owocami militaryzmu.

Weźmy naprzód skutki materyalne. Nie są one może najstraszliwsze, ale są najwidoczniejsze, a zgroźność ich jest zrozumiałą nawet dla najuboższych duchem.

Na pierwszym miejscu wymienić należy sam koszt utrzymania armii. Oceniając roczny budżet armii i marynarki we Francji na okrągłą sumę miliarda franków, popełniamy tylko niewielką przesadę. (Cyfra dokładna wynosiła w roku 1896 — 899,684,396 franków). Można utrzymywać, że ta olbrzymia suma nie jest w całości straconą, ponieważ zużywa się ją na zapomogi, żołd, dostawy, zakup żywności, amunicji i t. p. i ponieważ niektórzy ciągną stąd zyski.

Rozumowanie to jest przecież wadliwe. Wyobraźmy sobie, że jakiemuś prywatnemu bogaczowi przyszła nagle do głowy dziwaczna myśl zbudowania w

miejscu prawie niedostępnem wspaniałego zamku, w którym mieszkać nigdy nie będzie i który ani jemu, ani komukolwiek bądź innemu nigdy na nic się nie przyda. Na koszt tej budowli ów bogacz wydaje milion. Nie jest to fundusz całkowicie zmarnowany, gdyż rozdzielono go między pracujących w formie zarobków i między dostawców w formie zapłaty za materyały; mimo to rezultat przedsięwzięcia jest żaden i mamy prawo powiedzieć, że milion został stracony, utopiony, strwoniony. Równie zmarnowany jest ów miliard, wydawany corocznie na wojsko. Pomyślcie, co by nastąpiło, gdyby go dzielono pomiędzy obywateli. Jak podniósłby się dobrobyt każdej rodziny, gdyby co roku otrzymywała 150 franków! Miliard, płacony przez naród armii, to kapitał 5000 franków prawie dla każdej z rodzin francuskich. Tak, owa suma olbrzymia, nieprawdopodobna, którą kosztuje nas pokój zbrojny, jest tak potężną, że gdyby skasowano budżety armii i marynarki francuskiej, źródło to mogłoby dostarczyć dla każdej z rodzin francuskich po 5000 franków.

Ma się rozumieć, że to, co mówimy tutaj o rodzinach francuskich, odnosi się także, z drobnymi zmianami, do rodzin niemieckich, austriackich, włoskich i t. d., ponieważ te same dławiące podatki, których wymaga utrzymanie licznej i stałej armii, ciążą nad wszystkimi narodami Europy. Jednakże pasywa militaryzmu nie ograniczają się na budżetach rocznych wojska i floty. Nie zapominajmy, że długi państwowe były zawsze i bez wyjątku zaciągane przed, lub w czasie trwania, lub po jakiejś wojnie; wszystkie one są pożyczkami wojennymi, bądź to przeznaczonemi na zapłacenie kosztów wojennych, bądź na prace woj-

skowe nad uzbrojeniem, obroną i zaopatrzeniem w zapasy danego kraju.

Otóż — znowu w liczbach okrągłych — procenty, jakie płaci Francya od swego długu, wynoszą bez mała drugi miliard. Dług ten, niezaprzeczenie, jest długiem militarnym, jest konsekwencją bezpośrednią stanu wojennego i stanu, zwanego zbrojnym pokojem. Należy więc podwoić pozycyę, a stąd wynika, że kapitał, którym możnaby obdarzyć każdą rodzinę francuską, gdyby wojny nie były zużyły potoków energii bezużytecznie i nie zniszczyły bogactw niepojętych, wzrósłby do wysokości 10,000 franków, t. j. 300 franków renty rocznej.

Przedstawmy sobie w myśli, jaki dobrobyt i stan rozkwitu panowałby w kraju, w którym każda rodzina otrzymałaby na własność kapitał 10,000 fr. — a łatwo nam będzie zdać sobie sprawę z ruiny i zniszczenia, jakie z siłą fatalności pociąga za sobą militarizm. A teraz inna kombinacya. Jeśliby zamiast dzielić ów miliard, zużytkowano go na dzieła użyteczne, niewątpliwie cudów by można dokonać. Wszelkie roboty techniczne, o których marzą inżynierowie, mające na celu opanowanie sił przyrody w celach użyteczności, zostałyby urzeczywistnione w przeciągu lat kilku. Tunel pod kanałem la Manche byłby już przebity, maszyny latające wynalezione, Biegun Północny zbadany, cała nieznaną Afryka oddana pod uprawę i eksploatacyę, zaprowadzonoby w morzach sztuczną hodowlę ryb, obficie rozrzucanoby nawozy, produkty spożywcze spadłyby do cen minimalnych, siły wód, ciepła ziemskiego, ciepła słonecznego zamienione na elektryczność oddanoby do naszego użytku, a wtedy ludzkość uwolniona od kłopotów materialnych mogłaby się poświęcić naj-

wyższym zagadnieniom ideowym i skierowałaby może wysiłki swoje ku udoskonaleniu własnej rasy. Takie byłyby następstwa sprawiedliwego użycia miliardów, które co roku toną w budżetach wojskowych.

Oceniając jednakże straty, spowodowane przez militarizm, li tylko według obciążenia budżetów, dalecy jeszcze jesteśmy od zamknięcia rachunku. W istocie, armia składa się z pięciuset tysięcy zdrowych i silnych ludzi, którzy nie pracują, a pracowaćby mogli. Każdego roku we Francyi pięćset tysięcy ludzi czas swój poświęca zajęciom monotonnym i nudnym. Mustra, wożenie skrzyń z amunicyą i lawet, wertowanie urzędowych druków, nauka regulaminu — oto na co się obraca ich siły i inteligencyę. Gdyby oni wszyscy pracowali jako robotnicy 300 dni rocznie, zarabiając przeciętnie po trzy franki dziennie — to w ciągu roku wartość ich pracy wyniosłaby prawie pół miliarda. A zatem jeszcze 500 milionów dorzucić trzeba do rzeczywistych kosztów wojny.

Pięćset milionów — oto suma, którą płaci Francya za samo tylko wprowadzenie tego olbrzymiego zbiorowiska ludzi w stan nieprodukcyjności. Nie dwa miliardy więc, lecz dwa i pół miliarda kosztuje Francyę rocznie militarizm, co stanowi kapitał na każdą rodzinę po 12,000 fr.

Pomyślcie, co to za bezgraniczny absurd!

Najsilniejsi w kraju odrywani są na dwa lata od pługa i warsztatu, ażeby oddać się zajęciom tak śmiesznym, jak np. czerpanie wody w morzu w jednym miejscu po to, by ją napowrót do morza wlać cokolwiek dalej; żeby zaś mogli całkowicie poświęcić się temu zadaniu bezsensownemu, płaci im się i żywi ich. Nie dość, że kosztują, bo nie nie robią, kosztują jeszcze dla-

tego, że im się płaci. Zamiast dawać wynagrodzenie za ich pracę, daje się wynagrodzenie za ich bezczynność.

Doprawdy, niepodobna wyobrazić sobie ustroju społecznego, któryby był doskonalszy w swoim idyotyzmie! Prawnukowie nasi, kiedy będą studyowali naszą historję, bez wątpienia uczują dla nas wielkie politowanie.

Moralne nędze militaryzmu są jeszcze cięższe od materyalnych.

Trzeba na to położyć nacisk, bo wrogowie pokoju lubią bardzo deklamować o podnoszącym ducha wpływie wojennego rzemiosła. Mówią, że pojęcie ojczyzny jest nieodłączne od pojęcia wojskowości, że koszary i obóz są szkoła poświęcenia i heroizmu. Twierdzono nawet, że naród szybkim krokiem podążyłby ku rozkładowi i zgniliznie moralnej, gdyby się nie odradzał w czystejszej atmosferze moralnej pułku.

Jak wszędzie, znajduje się i w tych twierdzeniach żdźbło prawdy. Czasem niektórzy oficerowie umieją być wychowawcami dusz, nie tylko instruktorami technicznymi. Czasem więc, ale bardzo wyjątkowo, niektórzy młodzi żołnierze wracają ze służby wojskowej do rodzinnej wioski z umysłem nieco mniej zamglonym, z uczuciem nieco więcej uszlachetnionem.

Nie wolno jednakże opierać rozumowania na faktach wyjątkowych, w rzeczywistości bowiem, jeżeli pewna szczerupła liczba ludzi bywa podniesioną na duchu, to znaczna większość za to wraca do domu zepsutą. W pułku żołnierz odzwyczajają się od pracy. Robotnicy miejscy lub wiejscy, którzy w życiu cywilnem zmuszeni byli ciężko na chleb pracować, uważają pobyt w koszarach za względny odpoczynek. Filistrom i próżniakom, synom zamożnych rodzin lub urzędnikom, służba

w wojsku wydaje się ciężką i męczącą i dla nich stanowi ona szkołę pracy; z tego punktu widzenia mogłaby zatem być zbawienną. Dla wieśniaka same zajęcia wojskowe nie są męczące, ale za to nieznośne, nie rozumie on bowiem ich celu, podczas gdy wie bardzo dobrze, dlaczego orze swój grunt lub wyrывa na nim chwasty.

Nie nabiera więc zamiłowania do rzemiosła wojennego, natomiast traci przywiązanie do pracy na roli. Porzuca on służbę wojskową z radością, ponieważ służba jest niewolą, porzuca ją jednak zdeprawowany; zniechęcił się już do chłopskiej roboty, nauczył się włóczyć lub siedzieć bezczynnie podczas długich schyłków dnia, nauczył się spacerować po ulicach ze zwieszonymi rękoma smutnie i bez celu. I z innymi rzeczami jeszcze poznaje się zwykle młody żołnierz. Są to rozrywki kantyny lub nędznych knajp, fabrykujących trunki, dziewczęta łatwych obyczajów, krążące w pobliżu kantyn, które mu zaszcześcić mogą chorobę nieuleczalną. Uczy się rozmów bezwstydných, uczy się kłamstwa i obłudy, żeby oszukiwać swych przełożonych, usuwać się od obowiązkowych zajęć, unikać kar, aż wreszcie traci godność ludzką, której w ciągu dwóch lat niema czasu zastąpić godnością żołnierską.

Życie koszarowe uczy trzech rzeczy: pijaństwa, rozpusty i hipokryzyi. Jeśli dawane mu bywają jakiegokolwiek pojęcia ogólne, to tylko takie, że narody obce to głupie bydło i że należy nimi gardzić i nienawidzić ich. Zapewne, pogarda ludów obcych nie istnieje między oficerami, którzy słusznie szanują swych kolegów cudzoziemskich, ale szerzy się ona wśród prostych żołnierzy, biednych naiwnych chłopców, nie wiedzących o tem, że ci Niemcy, ci Włosi, ci Austriacy, to są

poczeiwi ludzie, chłopci tak samo, jak i oni, biedni poddani, tak samo, jak i oni, że różnią się od siebie tylko językiem i uniformem, lecz godni są wzajemnego szacunku i najgorętszej sympatyj.

Wszyscy ci młodzi ludzie, po powrocie do stanu cywilnego, z całego swego pobytu w obozie zachowują w pamięci tylko owe hasła nienawiści i w ten sposób pomiędzy narodami, stworzonymi na to, by się nawzajem kochać i poznawać, powstaje mur nieprzebyty, z przesądów i oszczerstwa wzniesiony.

Co się tyczy poszanowania karności, sędzę, że bynajmniej nie rozwija się ono w służbie wojskowej.

Zyskują tylko formy zewnętrzne, bo przełożonym należy się posłuszeństwo pod karą. Ale śladu niema uczucia szacunku wewnętrznego. Przeciwnie. Duch buntu żyje w żołnierzu przeciw kapralowi, w kapralu przeciw sierżantowi, w sierżancie przeciw porucznikowi, w poruczniku przeciw kapitanowi i t. d. Ażeby wyłamać się z pod jarzma bezwzględnej dyscypliny, jedni i drudzy postępują obłudnie, uciekają się do podstępów, niegodnych człowieka prawdziwie wolnego. Posłuszni są zewnętrznie, lecz w duchu szemrzą, lub nawet krytykują i szydzą.

Inaczej ma się rzecz z żołnierzem starym. Po kilku latach wojskowego życia, nawyknięcie do zewnętrznego posłuszeństwa łamie charakter w takim stopniu, że posłuszeństwo przestaje być tylko powierzchownym, a staje się zupełnym, nie dopuszczającym nawet wewnętrznego oporu. Czy takie bierne posłuszeństwo jest pożądane? — nie wiem. Wiem tylko, że po dwóch latach nie można go osiągnąć, a zatem bierna uległość, moralna i fizyczna, bynajmniej nie jest rezultatem dzisiejszych stosunków wojskowych.

Jednem słowem, głównym wynikiem wpływu wojskowości współczesnej na dusze młodych ludzi, stanowiących przyszłość narodu, nie jest szczepienie w nich prawdziwego ducha wojskowego, t. j. rycerskiego przywiązania do sztandaru i posłuszeństwa czczonemu wodzowi; owym głównym wynikiem jest właśnie fałszywy duch wojskowy: krzykliwa i ślepa nienawiść dla narodów sąsiednich.

Stan zbrojnego pokoju i nieustannie grożącej wojny pociąga za sobą cały szereg zgubnych prądów ideowych i moralnych, oraz szkodliwy kierunek ogólny. Wolność polityczna jest prawie niemożliwą do pogodzenia z militarystką, a skrajny system protekcyjny, godny jego towarzysz, rujnuje do reszty wyczerpane narody.

Prócz tego, dzięki wojnie, ludy całe zmuszone są znosić jarzmo władzy narzuconej im siłą. Pewne narody poddane są panowaniu, które im jest ciężarem, a pogwałcenie prawa trwa ciągle, jak np. w prowincjach duńskich, alzackich, lotaryńskich, trzymanyh w poddaństwie, równem prawie niewolnictwu.

Rozumiem doskonale, że każdy człowiek szlachetny musi się oburzać na los okrutny, jaki przypadł w udziale naszej drogiej Alzacyi. Ale na mocy jakiego dziwnego zбочzenia może to stanowić punkt wyjścia dla umiłowania wojny?

Im więcej ktoś kocha Alzacyę i boleje nad jej niewolą, tem bardziej powinien nienawidzić wojny. Zabór Metz i Strassburga jest przecież dziełem wojny! Wojna jest przyczyną tego bezmiernego bezprawia, niedola naszych braci może nas przeto natchnąć tylko obrzydzeniem do wojny. Gdyby panowało prawo, Alzacya byłaby francuską — lecz panuje gwałt. Ta

cywilizacya, którą się tak szczycimy, ponieważ zdaje się ona uświęcać tryumf idei nad surową materją, jest ostatecznie barbarzyńskim i dzikim stanem; albowiem ludy całe muszą znosić jarzmo ludów innych, jedne zaś i drugie zarówno całą swą nadzieję pokładają w wojnie, t. j. znowu w ucieczce do gwałtu.

Pomimo wszystkich frazesów pięknych, wygłaszanych przez moralistów i polityków, nasza budowa społeczna spoczywa na bardzo nikczemnej podstawie: na sile brutalnej.

### III.

#### Odpowiedź zwolenników wojny.

Wyłożyliśmy powody, które skłaniają nas do zapatrywania się na wojnę, jak na plagę, na policzek, wymierzony cywilizacyi, na żywy i tryumfujący szczyłek barbarzyństwa. Zdanie to jednak, aczkolwiek podzielane przez wielu, nie jest wcale powszechnem. Znajdują się jeszcze pisarze, poczytujący wojnę za dobro. Im to właśnie zamierzam tu odpowiedzieć.

Zwracam uwagę, że nie wchodzi tutaj w grę opinia ludu. Lud jest to dziecko naiwne, uwodzone pięknymi frazesami. Nie mógł on zastanowić się i przetrawić w myślach tych zagadnień. Zmuszony pracować na chleb powszedni, pędzi życie z dnia na dzień. Przyjmuje los, zgotowany mu przez starodawne tradycje ludzkości. Nie przypuszcza, ażeby przyszedł kiedykolwiek dzień wyzwolenia z piekła, w którym żyje.

Opuszcza głowę i znosi wszystko. Wyjawszy rzadkie porywy, zbyt odosobnione, by mogło je uwięzić powodzenie, lud całuje rękę, która bije i zgina się pod ciężarem wojny. Jest nieszczęśliwy, jest żerem dla armat, oddaje krew swoją i złoto swoje potworowi

i nie myśli nawet o oburzeniu. Nie ma więc zdania. Należy wszelako wyrabiać w nim opinię, i w tym celu należy zwalczać argumenty wymyślone przez zwolenników wojny.

Nie zamierzamy obecnie odpiarać twierdzenia, najbardziej rozpowszechnionego, które brzmi: „Wojna — to zło, lecz zło nieuniknione. Pokój jest doskonały, ale to marzenie, chimera, utopia“. Zobaczmy później, co na to można odpowiedzieć; tymczasem ograniczymy się na polemice z tymi, którzy mówią: „Wojna — to dobro“.

Oto ich dowodzenia:

„Wojna tylko może rozwijać w ludziach miłość ojczyzny. Jeśli niema sztandaru ze skupionym wokoło niego zbrojnym hufcem — niema istotnego patriotyzmu. W obozach i koszarach skupia się życie narodu; tam uczą się jednostki zapominać o sobie, poświęcać życie dla idei, szanować hierarchię, ulegać karności. Przygotowanie do wojny stanowi szkołę czynów mężnych i abnegacyi. Dzień, w którym obywatele pewnego kraju przestaną być gotowi do poświęcenia życia i majątku ojczyźnie, pograży ich całkowicie w marnej, poziomej trosce o rodzinę i byt materialny; dzień ten stanie się początkiem panowania zepsucia; zgnilizna zatryumfuje niepodzielnie. Międzynarodowy kosmopolityzm będzie pokrywał egoizm, a niby-miłość ludzkości da początek zobojeźnieniu dla sztandaru i ojczyzny. Słowem, nastanie czas panowania uczuć niskich i nizezemnych, gdyż człowiek nie jest zdolny namiętnie pokochać idei tak oderwanej, jak idea ludzkości. Odbierzcie ludom uczucie patriotyczne, a utoną w użyciu i demoralizacyi.

„Nauka, udzielana żołnierzom, kształci ich świetnie, nie tylko pod względem technicznym, lecz i moralnym. A przecież cały kraj przechodzi przez tę szkołę karności i moralności.

„Militaryzm przyczynia się też potężnie do rozwoju przemysłu i nauki. Wszystka siła żywa narodu skupia się w postępie materialnym, który wychodzi na korzyść zarówno wszystkim. Ulepszenia dróg zwykłych i żelaznych, okrętów, wszelkich narzędzi wojennych, świadczą o niezmiernym wysiłku; dają one pole do zrealizowania mnóstwa wynalazków, które nigdy nie mogłyby być wprowadzone w czyn, gdyby nie kolosalne środki, jakimi rozporządzają budżety wojskowe.

„Dobrze jest, iż wpośród naszej, wyrafinowanej aż do zepsucia cywilizacyi, pewna liczba jednostek żyje, nie troszcząc się o zdobycie grosza lub powiększenie ojcowizny, w ciągłym pogotowiu do oddania życia na usługi idei, tak wzniosłej, jak idea ojczyzny. Przygotowywanie do wojny jest równoznaczne z rozwijaniem moralności.

„Co się tyczy samej wojny, kosztuje ona wprawdzie nieco ofiar, lecz ostatecznie zapewnia zwycięstwo silniejszemu: silniejszy zaś jest tem samem lepszy. Bądźcie lepsi od przeciwnika waszego techniką, talentem wodzów, doskonałą organizacją finansów, przedewszystkiem zaś bohaterstwem i osobistą odwagą wielkich i małych, oficerów i żołnierzy — a napewno zwycięstwo stanie po waszej stronie. Zwycięstwo będzie wówczas prosto wymiarem sprawiedliwości, ponieważ uświęci tryumf dzielniejszego. Kto odnosi zwycięstwo, ten zasługuje na nie. Zwycięzonym zostaje ten, kto zwycięzonym być powinien. Z dwóch walczących na-

rodów jeden zawsze jest dalej posunięty w rozwoju, więcej wykształcony i mężny, ten niezawodnie, nawet po jakichś częściowych porażkach, będzie w końcu zwycięzcą. Siła zawarta jest w cnocie żołnierskiej. Cóż zatem może być słusniejszego nad tryumf siły? Jest to poprostu przewaga cnoty“.

Tak wyglądają w skróceniu argumenty zwolenników wojny i militarystyki. Przyzna czytelnik, że nie staraliśmy się ukrócić ich mocy i że przedstawiliśmy je zupełnie lojalnie.

A oto odpowiedź.

1) Armia jest niezbędną dla idei ojczyzny.

Zdanie, że pojęcie ojczyzny łączy się z wojskowością, zawiera tęzę niedokładną. W istocie, militarystyka jest atrybutem ojczyzny, ale zdobywczej i napastującej. Jeżeli tę działalność zdobywczą uważa się za przejaw miłości ojczyzny, to niewątpliwie między militarystyką a ojczyzną istnieje związek ścisły, ponieważ kraj bez żołnierzy niezdolny jest do aktywności. Wszelako rozbroić kraj i uniemożliwić mu szalone przedsięwzięcia takiego Ludwika XIV, Karola XII lub Napoleona — to nie znaczy bynajmniej zniszczyć pojęcie ojczyzny; owszem, znaczy to oczyścić je i wywyżżyć. My, którzy nie życzymy sobie wojen o wpływy lub o równowagę, rościmy sobie pretensje do większej miłości ojczyzny, niż jest ta miłość u zdobywców.

Szczególna to miłość ojczyzny, która polega na szafowaniu życiem jej dzieci! Żeby bardzo kochać Francję, należałoby więc przyprowadzić o śmierć bardzo wielu Francuzów! Rachując w ten sposób, trzeba uwa-

żać obu Napoleonów za największych patriotów, ponieważ oni dwaj przez swe opłakane wojny spowodowali śmierć około czterech milionów Francuzów.

2) Nie można namiętnie ukochać idei ludzkości.

Dziwaczne to twierdzenie było niejednokrotnie powtarzane w rozmaitej formie. Czy zastanawiano się przytem, że pojęcie ojczyzny jest zależne od wielu okoliczności i zmienne w stosunku do miejsca i czasu? Czteryście lat temu, we Włoszech, Piza była ojczyzną Pizańczyków, a Lukka — Lukańczyków.

Gaskończyk i Normand nie mieli jednej ojczyzny. Bawar zaś i Sas pochodzili z dwóch krajów, nie mających ze sobą wspólności. Pojęcie ojczyzny rozszerzyło się jednak z wolna. Dziś mamy już Francję i ojczyznę francuską, Niemcy i ojczyznę niemiecką, Włochy i ojczyznę włoską. Dlaczego mielibyśmy na tem poprzestać? Czyż może uczucie patriotyczne wygasła w miarę jak ojczyzna się zwiększała? Czemu, gdyby istniała ojczyzna europejska, miałbym być mniej zdolny życzyć jej dobra i rozkwitu, niż kiedy istnieje tylko ojczyzna francuska?

Wiem dobrze, że gdyby przed czterema wiekami powiedziano Pizańczykom: „Lukańczycy przestaną być waszymi wrogami i będziecie ich kochali nie mniej, niż własnych współobywateli“ — wówczas Pizańczycy wruszyliby ramionami i zaczęli krzyczeć na temat świętokradztwa, utraty wszelkiego poczucia, ohydy nad ohydami, przewracania porządku świata, niszczenia najczcigodniejszych i najpełniejszych chwały tradycyi miasta!

Tak samo, gdyby jakiemuś Francuzowi, Niemcowi, Włochowi dzisiejszemu powiedziano: „wasi sąsiedzi,



ci sąsiedzi, których tak nienawidzicie, za cztery wieki staną się waszymi współobywatelami, podlegać będą tym samym prawom, a może nawet mówić tym samym językiem i obowiązkiem waszym stanie się, kochać ich i bronić“, jakimże okrzykiem oburzenia odpowiedzieliby oni, ci pseudo-patryoci!

Lecz trzeba im wybaczyć, oni nie rozumieją sprawy.

Jeden z największych historyków współczesnych, Wiktor Duruy, pisał kiedyś do naszego Towarzystwa Pokoju, iż się najzupełniej z nami solidaryzuje, jest bowiem przekonany, że Europa zostanie zjednoczoną tak samo, jak zjednoczoną została Francya.

Czy w wieku XV Prowansalczy, Lotaryńczycy, Gaskonowie, Bretoni, Flamandzi mieli wyobrazenie o ojczyźnie francuskiej? Wartoby było odesłać do szkoły początkowej tych wszystkich, którzy nam głowę suszą swoim pojęciem ojczyzny, niewzruszonej i nieodmiennej.

Idea rodziny jest piękna, idea ojczyzny jest również bardzo piękna, lecz idea umiłowania ludzkości nie ustępuje tamtych pięknosciami, więc głupstwem byłoby twierdzić, że istnieje sprzeczność między temi trzema uczuciami, które tak są czyste i szlachetne wszystkie.

Kocham moją rodzinę. Czyż to jest powód do nieważności względem mej ojczyzny?

Kocham moją ojczyznę. Czyż to jest powód, bym rozpoczynał walkę przeciw ojczyznom sąsiednim?

Pójdę dalej. Ja sędzę, że trzy te miłości nie przeczą sobie, lecz przeciwnie, zlewają się w jedną. Kochając rodzinę moją, kocham cząstkę mej ojczyzny,

kochając ojczyznę moją, kocham w niej cząstkę ludzkości.

Ten, kto dowiedziawszy się o zatonięciu angielskiego okrętu z ładunkiem i załogą, wykrzykuje: „Brawo! będzie o dwustu Anglików mniej!“ — jest bardzo złym patryotą, pomijając już to, że jest złym człowiekiem i wierutnym głupcem. Biedny głupcze! Czy ludzie ci nie są twoimi braćmi? Czy nie mogli byli stać się użytecznymi kiedyś i dla ciebie? Jeśli między owymi rozbitkami znajdował się jakiś Jenner, albo Shakespeare, albo Whatt, czy nie poczujesz i na sobie tego kalectwa, co zacięży nad całą ludzkością?

Wstydzę się doprawdy dłużej argumentować, tak oczywistość bije tu w oczy! Ale my tak jesteśmy pochłonięci przez ogólną atmosferę ideową, jaka nas otacza, że z trudem tylko możemy wyobrazić sobie u naszych potomków stan umysłowy, w którym pojęcia dzisiejsze zostaną zakwalifikowane do rzędu absurdów. Nie umiemy zdać sobie sprawy z całej ciasnoty naszego horyzontu myślowego.

Dwa wieki temu uważano tortury za czynnik zasadniczy w śledztwie sądowym. Trzy wieki temu palono czarownice, a najlepsi ludzie owych czasów zapatrywali się na egzekucyje opętanych i wiedźm, jako na jedną z podstaw sprawiedliwości i zbawienia państwa.

Przedstawmy sobie społeczeństwo ludożerców, gdzie kannibalizm byłby instytucją czcigodną, uświęconą przez tradycję, przepisaną prawem, wykładaną w szkołach, zalecaną przez duchowieństwo, opiewaną przez poetów i filozofów, propagowaną w salonach i warsztatach, akademiach i szynkach. Nie ulega wątpliwości, że w takich warunkach nikt nie odważyłby się protestować przeciw uświęconemu zwyczajowi. Nie-

szcześliwy, któryby ośmielił się uważać za zbrodnie uczty z ludzkiego mięsa, zostałyby zlekceważony i ogłoszony za zdrajcę względem religii i ludzkości. Pod grozą najdotkliwszych obelg, może nawet wygnania lub więzienia, każdy zmuszonyby był wychwalać ów obyczaj, a mowy nowo przyjmowanych członków Akademii francuskiej kończonoby wśród oklasków słuchaczy słowami uwielbienia dla ludożerstwa.

Owóz wojownicze pojęcie ojczyzny nie jest wyższe od pojęć ludożerców. Powiem nawet, że zjeść człowieka dlatego, iż się jest głodnym, stanowi czyn daleko mniej ważny i daleko mniej głupi, niż dążenie do bezowocnego mordowania tysięcy ludzi. Ale takie są obyczaje czasu i obyczaje te zmuszają nas do wielbienia zdobywców i ludzi wojowniczego ducha. Jeżeli przypadkiem podniesie się głos niezgodny i śmie dać wyraz pojęciom przeciwnym, natychmiast wybuchną okrzyki i nawoływania przeciw ojcobójstwu i podłości.

Biedni ludożercy! nie mamy prawa oburzać się na was; nasze uczty patriotyczne daleko bardziej są krwawe od waszych! Żle się żywiecie w porównaniu z nami.

A jednak, gdybym żył pośród Kannibalów, ganiłbym ich zwyczaj, choćby mnie opluć miano. Więc i tu również, w naszym społeczeństwie współczesnym nie zawaham się wypowiedzieć głośno swego zdania, chociażbym miał wydać się potworem: że śmierć dzielnego Niemca, dzielnego Anglika, dzielnego Włocha, jest, mojem zdaniem, zbrodnią. Ludzie ci, chociaż żyją po drugiej stronie granicy, są takimi samymi ludźmi, jak i ja. Mają ojców, żony, dzieci. Krew ich teje samej jest barwy, co i moja, a ja nie mogę się cieszyć, kiedy widzę, jak ci ludzie cierpią, płaczą, umierają. Je-

dnem słowem — nędze tych cudzoziemców nie budzą we mnie żadnej radości, a rzezie ich nie napęniają serca mego ani dumą, ani rozkoszą. Doszedłem nawet do tego stopnia podłości, że żywię dla nich, zarówno jak dla mych braci, Francuzów, najgłębszą litość i że staram się wpoić w moich uczniów, w moich przyjaciół i w dzieci moje zasadę poszanowania ludzkiego życia, bez względu na to, czy idzie o Francuza, czy o obcego. I nie dość na tem. Mam nawet nadzieję, może bardzo dziwną, że przyjdzie dzień, w którym nie ja nazywany będę barbarzyńcą.

3) Armia jest szkołą zaparcia się, a przygotowanie do wojny jest równoznaczne z rozwijaniem moralności.

Zdanie to może być wygłaszane jedynie przez tych, którzy nigdy nie widzieli, co się dzieje w koszarach, obozach i na kwaterach. Pewien jestem nawet, że wielka liczba oficerów przekonana jest silnie, iż koszary i kwatery są bez zarzutu pod względem moralności i higieny. Ale mają oni zupełnie wystarczające powody do takiej opinii: oto nigdy do koszar nie chodzą. Nie wiedzą nic z tego, co się tam mówi, czytają z mniejszym lub większym roztargnieniem raport, składany im przez podoficera, a kiedy wchodzi tam, dzięki wyjątkowemu przypadkowi, rozlega się komenda „Baczność!“... i wszystko jest w porządku.

Co się tyczy moralności, to wystarczy przypatrzeć się sąsiadującym z koszarami zakładom: knajpom, kantynom, handelkom, barom, kawiarniom, hotelom, domom publicznym, ażeby dokładnie ocenić wysoką moralność życia wojskowego. A zresztą — dodajmy to, by uniknąć wszelkiego nieporozumienia — my nie u-

trzymujemy, aby było złem dla młodych obywateli kraju zbierać się pod okiem czujnych i oddanych sprawie przełożonych, na kilka tygodni lub kilka miesięcy, w celu nabycia pewnych wyobrażeń ogólnych o obowiązkach względem ojczyzny; wyobrażeń tych bowiem wyrobić sobie nie można ani w fabryce, ani w polu, ani w salonie. Tak, jak w Szwajcaryi np., służba wojskowa bardzo krótka i bardzo patryarchalna, w armii zorganizowanej wyłącznie dla celów obrony, absolutnie wolnej od jakichkolwiek ukrytych zamiarów wojowniczych, służba, którą się odbywało nie w koszarach, lecz w obozie pod namiotem. Zgoda! Ale służba, jaką mamy obecnie, przyczynia się do obniżenia poziomu moralności i jest plagą, ciężącą na sumieniu narodu.

#### 4) Wojna jest tryumfem lepszego.

Jest to argument poważny: argument metafizyczny Hegla, podjęty przez kilku innych filozofów i pisarzy. Zwrócimy przedewszystkiem uwagę na okoliczność, że dla pozytywnego poparcia tego argumentu niezbędnem byłoby wykreślenie z karty geograficznej świata ludów małych. Pomimo swojej waleczności, Szwajcarzy nie byliby w stanie odeprzeć ani najazdu francuskiego, ani najazdu niemieckiego. Przypuścimy, iż zawiązano koalicję Austrii i Prus przeciwko Danii — wiadomo, że nie jest to oderwane rojenie wyobraźni — cóż może innego czekać Danię, jak tylko klęska? I czy niepowodzenie to dowodzi, że męstwo Duńczyków było mniejsze od męstwa Austryaków i Prusaków?

Już ta jedna uwaga wystarcza do obalenia całej argumentacji, ponieważ nie można wykluczyć wojen między przeciwnikami nierównej siły. Przypuścimy jednak, że liczba wrogów stających do walki jest mniej

więcej jednakowa. Czyż nawet w takim wypadku zwycięstwo doskonalszego jest rzeczywiście niewątpliwem?

Wystarczy poczytać trochę historię, by się przekonać, iż rzecz się ma zupełnie przeciwnie. Ileż razy przypadek decydował o losach wojny? Wielki wódz, dzięki swej uczonej taktyce i zręcznej strategii sam jeden znaczy tyleż, co waleczność i bohaterstwo kilku tysięcy żołnierzy. Z drugiej strony, generał niezręczny może zmarnować bez żadnego pożytku odwagę i męstwo swych wojsk. Nie pamiętam już, jaki wybitny dowódca mawiał, że więcej jest warta armia jeleni, dowodzona przez lwa, niż armia lwów, prowadzona przez jelenia. Od potęgi umysłowej i talentu kilku ludzi zależy powodzenie ostateczne, a zważywszy wszystkie dane, znalazłoby się tyleż odwagi w prostym żołnierzu armii zwyciężonej, co w prostym żołnierzu armii zwycięskiej.

Dalej, pojęcie siły jest nadzwyczaj złożone. Naród jakiś poświęca się wyłącznie wojnie, ma licznych i karnych żołnierzy, wodzów doświadczonych i roztropnych, materiał wojenny bez zarzutu. Będzie on mocniejszym w wojnie, — zgoda. Ale istnieją jeszcze inne rodzaje siły, prócz siły militarnej. Artyści, filozofowie, uczeni, matematycy, poeci, przemysłowcy, rolnicy — wszyscy ci ludzie reprezentują jakąś wartość. W gruncie rzeczy więc tryumf silniejszego znaczy tutaj prosto tryumf ludu, przygotowanego do wojny nad ludem mniej przygotowanym. Gdybyśmy się zgodzili na stan podobny, to przygotowanie do wojny stałoby się wyłącznym ideałem cywilizacji. Dużo dobrych karabinów w arsenałach, mocne i szybkie pancerniki i torpedowce; wszędzie składy prochu, bataliony jednolite, dobrze wyćwiczone i dowodzone, fortece, zaopa-

trzone w amunicję i żywność; sztab generalny bez zarzutu, intendentura doskonała, oto, co byłby za cel ostateczny naszej kultury, jakie *nec plus ultra* myśli ludzkiej! Będąc silniejszym, dany naród byłby pewnym zwycięstwa i mógłby bezkarnie gwałcić, tyranizować, miażdżyć inne ojczyzny. I tak też jest.

Musi mi darować Hegel, ale w danych okolicznościach rzekomy tryumf cnoty jest poprostu tylko tryumfem siły. Siłę zaś posiada nie ten, kto jest lepszy lub sprawiedliwszy, lecz ten, czyje bataliony są większe.

Niegdyś wierzono, że pojedynek jest odwołaniem się do sądu Boga i że sąd Boży zawsze bywa przychylny dla sprawiedliwego. Dziś wiemy, że tylko w melodramatach cnota ma zapewnione zwycięstwo. W rzeczywistości wynik pojedynku jest całkowicie niezależny od sprawy słuszności. Można być doskonałym szermierzem i świetnym strzelcem z pistoletu, a zarazem stale postępować względem drugich w sposób krzywdzący i niesłuszny. Trudno więc; pomimo dobrych chęci, nie mogą się dopatrzeć żadnego związku między powodzeniem orężnym a sprawiedliwością.

Jeżeli wojna i zwycięstwo z bronią w ręku rozstrzyga o wszystkim, to narodom małym nie pozostaje nic innego, jak zniknąć z powierzchni ziemi. Trzeba się wyrzec sztuki, nauki, myśli głębszej. Ideał Rzymian starożytnych — lud żołnierzy, żyjący tylko wojną i dla wojny — musiałby stać się naszym ideałem.

Tymczasem nasz ideał wszechludzki jest zupełnie inny. Jakkolwiekby on był oddalony od nas, niestety — nie pojmujemy go, jako siłę, lecz wyobrażamy go sobie, jako prawo. Chcemy, ażeby sprawiedliwość normowała stosunki między narodami.

5) Narody nie wojownicze ulegają zepsuciu.

Owo zepsucie, poniżenie, zgnilizna, mające jakoby grozić każdemu narodowi, nie poświęcającemu sił swoich wojnie — są czezą fantazyą, na temat której można pisać mniej lub więcej błyskotliwe waryacje ku zabawie dam, ale której nikt nie może brać na serio.

Istnieją narody wojownicze i militarne, zorganizowane przedewszystkiem do prowadzenia wojny, gdzie służba wojskowa jest powszechna i obowiązująca, budżet wojenny olbrzymi, gdzie pierwiastek wojskowy ma znaczną przewagę w społeczeństwie i państwie nad pierwiastkiem cywilnym, gdzie utrzymywane są olbrzymie armie stałe. Kraje te, to Francya, Niemcy i Włochy. W przeciwieństwie do nich inne kraje są znów usposobienia głęboko pokojowego. Za przykład mogą tutaj posłużyć Anglia, szczególnie zaś Stany Zjednoczone. Anglia, pomimo swych kolosalnych i wojowniczych przedsięwzięć kolonialnych, nie jest krajem militarnym. Służba wojskowa nie jest obowiązująca, organizacja wojskowa nie ma żadnej przewagi nad organizacją cywilną, a armia jest minimalna w stosunku do masy narodu. Stany Zjednoczone są jeszcze mniej militarne, niż Anglia, co zresztą nie wstrzymuje ich od wojowania, gdy szal wojenny je ogarnie. Ponieważ jednak nie mają armii stałej, muszą ją improwizować na poczekaniu, jak to było w wojnie z Hiszpanią.

W każdym razie ta ostatnia wojna musi być uważana za wyjątkowy wypadek. Naród bowiem amerykański jest najmniej wojowniczym narodem, jaki kiedykolwiek istniał. A czy ktokolwiek śmiałyby twierdzić, że naród ten jest bardziej zepsuty, niż francuski? I czy

oskarży kto społeczeństwo angielskie, że jest bardziej zgniłe moralnie od społeczeństwa niemieckiego?

Wynaleziono też ciekawy argument następujący: „Chiny nie są militarne; patrzcie, jak nisko upadły!“. Rozumowanie to zaiste godne Chińczyka! Bo przecież gdyby ludzie rasy żółtej posiadali inteligencję taką, jak ludzie rasy białej, wraz z kolejami żelaznymi, elektrycznością, ukochaniem postępu i nauki — to nie potrzebaby mówić o upadku Chin. To nie pokój długotrwały uczynił ich mózgi szczuplejszymi od naszych.

Co do mnie, widzę dobrze, co zostałyby usunięte z naszego życia wraz z usunięciem wojny. Oto zmniejszonyby podatek, uniknięto by rzezi ludzkich, nie podniesiono by do godności aksjomatu tego straszliwego błędu moralnego, że siła idzie przed prawem. Bezpośrednimi następstwami zastąpienia naszej cywilizacji wojowniczej przez cywilizację pokojową byłoby ograniczenie pijaństwa i prostytucji, ulżenie nędz, zmniejszenie nienawiści.

To chyba nie jest upadek?

Daleki jestem od wiary w wiek złoty, w niebo bez najłżejszej chmurki, które jakoby ma stanowić bezpośrednio następstwo zniesienia wojen. Bynajmniej. Namiętności nie zostałyby przez to usunięte z widowni, walka sprzecznych interesów byłaby może nie mniej ostrą. W oczach naszych toczyłyby się wielkie walki ekonomiczne, w których nie byłoby miejsca na litość. Wrogie zawikłania nie przestałyby wybuchać, serdeczna nienawiść pomiędzy różnymi grupami ludzi, sztucznymi, czy naturalnymi, nie przeszłaby do historii wraz z wojną. Prawdopodobnie nigdy nie nadejdzie dzień owego braterstwa zupełnego, niezamąconego niczem, gdyż sama nasza budowa fizjologiczna jest mu przeci-

wną. Klótnie pomiędzy jednostkami nie tracą nic na zaciętości, walki polityczne nie staną się łagodniejsze. Ale nie będzie przynajmniej bezcelowego rozlewu krwi; ale przynajmniej kolosalny wysiłek nie będzie obracany na marne.

W dniu, w którym walki orężne między wrogimi sobie osobnikami zastąpione zostaną przez instytucję sądową, rozstrzygającą spory — nienawiść nie zostanie usunięta, ani nawet walka. A jednak bitwy pokojowe, jakie dotąd już staczano przed sądem i sędziami, stanowiły olbrzymi i nieporównany postęp w stosunku do bitew krwawych, na oszczepy i noże, jakie były na porządku dziennym w cywilizacjach pierwotnych. Albowiem z punktu widzenia międzynarodowego, epoka nasza musi być uważana za odpowiadającą epoce przedhistorycznej bytu indywidualnego, kiedy to człowiek jaskiniowy bronić musiał zębami, pazurami i ociosanym krzemieniem przed braćmi swymi sztuki zwierzy przyniesionej dla samicy i młodych.

Wszystko to przecież mało obchodzi pp. Johnsa, Coppée, de Vogüe, Valbert, de Cyon, którzy zapatrują się na wojnę, jako na dobro. Bez wojny, ich zdaniem, świat zapadłby w niebezpieczny letarg. Pan Valbert jednak rozważniejszy od p. Vogüe, przyznaje, że wojna nie całkiem jest wolną od stron ujemnych; jest to plaga, mówi on, lecz plaga, której skutki są dobroczynne i zniesienie wojny nie podziałaloby uszlachetniająco na nasz gatunek. „Jednym słowem — dorzuca nasz autor rezolutnie — gdyby tylko ode mnie zależało zniesienie wojny, zawahałbym się pewno“.

Można bez obawy omyłki wywnioskować stąd, że p. Valbert przekroczył już wiek, w którym się jest obowiązany do służby w wojsku i że nie ma syna pod

chorągwiemi. Gdyby tak nie było, co innegoby on nam zaśpiewał. Są to jednakże rzeczy drugorzędne. Zatrzymajmy tylko w pamięci argument o letargu i o unieszlachetniającym wpływie pokoju.

Zapewne, kiedy cały kraj jest ogarnięty wojną, kiedy drogi są zawałone żołdactwem nieprzyjacielskiem, ciągnącym za sobą kupy jeńców i transporty rannych, kiedy na porządku dziennym są kontrybucye wojenne, głód w oblężonych miastach, bombardowania, kapitulacye, rozstrzeliwania zakładników, cholera, tyfus, szkorbut, gnicie po szpitalach... zapewne, wówczas możesz się pan cieszyć, panie Valbert, niewątpliwie bowiem nie jest to letarg!

Nieszczęsny epileptyk z pokręconymi członkami, który wyje w strasznych konwulsjach, drąc pazurami swe własne ciało, któremu na usta występuje krwawa piana, którego głowa tłucze się po kamieniach bruku — nie jest pogrążony w letargu! Czy to jest pańskim ideałem, panie Valbert? A czy Anglia, która dzięki półwiekowemu pokojowi, mogła wszędzie zapewnić przewagę dla swego handlu, przemysłu i języka, jest w letargu w porównaniu z Francją, która toczyła swoją krew i złoto w Meksyku, Włoszech i nad Renem?

Nie była uśpioną Francją za Napoleona I. A czy się wzbogaciła, czy odznaczyła zaszczytnie w obliczu ludzkości temi wojnami zbrodniczemi, do których ją wiodła fantazyja despoty? Czy zdobyła sobie miłość ludów? Czy choćby rozszerzyła granice?

Czy nie zna pan przypadkiem, p. Valbert, drobnych narodów, jak Szwajcaryja, które mają nieszczęście obywać się w życiu bez wojny? Powiedzże im pan, że śpią w letargu, ponieważ nie biją się, ale oni nie uwierzą. Co się tyczy uszlachetniania gatunku, to niedobrze

rozumiem, o co panu Valbert idzie. Jeżeli ma on na myśli rasę fizyczną, to powinien wiedzieć, że na polach bitew gniją najzdrowsi i najdzielniejsi nasi młodzieńcy. †

Głuchoniemi, paralitycy, epileptycy, jękały, jednocy, pozbawieni rąk lub nóg, skrofuliczni i t. p. nie potrzebują obawiać się śmierci na polu bitwy. Pozostają oni nam, dzięki Bogu, aby utrwać i uszlachetniać rasę; kalectwo broni ich i zachowuje dla przyszłych pokoleń, podczas gdy wszyscy ludzie zdrowi i silni, zmuszeni wyruszyć na wojnę, mają wszelkie szanse, że w dniu rzezi mocne ich ciała obalone epidemią lub kulami użyżnią sobą ziemię. Mielibyśmy pyszny wzór rasy, gdyby dla jej rozplodu zachowywano tylko ludzi niezdolnych do służby wojskowej!

Czas teraz wypowiedzieć zdanie nasze o odwadze wojennej. A więc: przyznajemy otwarcie, iż wedle rozumienia naszego jest to jedna z najdzielniejszych cnót ludzkich. Ale czyż koniecznie w ten sposób ma ona być praktykowana?

W tem leży cała kwestya. Tak, bez wątpienia, odwaga wojskowa jest godną podziwu i czei. Nigdy z ust naszych nie padło słówko nagany, nigdy przemilczenie z naszej strony nie spotkało mężnych, którzy poświęcili swe życie na polach bitew, lub którzy gotowi są to uczynić. Wzgarda niebezpieczeństwa, śmierci, trudów, głodu, chłodu i wszystkich plag, które wojna ciągnie za sobą, jest uczuciem tak wzniosłem, że trzeba by było być pozbawionym wszelkiej szlachetności ducha, ażeby móżdż pozostać na nie obojętnym. Ideałem żołnierskim jest przywiązanie do wodza i sztandaru, gdyż wódz i sztandar są namacalnym, żywym, zrozumiałym dla najbardziej niewykształconych nawet,

symbolem ojczyzny, ojczyzny napadniętej, której trzeba bronić. Duch karności, poświęcenia i zaparcia siebie, jaki budzi się pod wpływem przywiązania do sztandaru, stanowi szczyt wszystkich cnót ludzkich. Życzylibyśmy sobie, ażeby bohaterские czyny wojenne jak najczęściej były cytowane w szkołach, trudno bowiem o lekcję zbawienniejszą. Nauczać obowiązku żołnierskiego, znaczy tyle, co nauczać honoru i cnoty. Niema obawy, by brakło przykładów sławnych. Od Leonidasa począwszy, na wojnie francusko-pruskiej kończąc, ileż czynów wielkich, ile przejawów świetnego męstwa wyliczyć by można?! Samo życie Joanny d'Arc, oraz wojny pierwszej Rzeczypospolitej, dałyby materiał, wystarczający dla wzruszenia najoporniejszych. Jak piękną byłaby książka, odświeżająca w pamięci czytelnika czyny wojennego męstwa, zapisane w historii. Należy się słusznie, ażeby świadectwo tego szczytnego heroizmu, opowiedziane w stosowny sposób i skomentowane, stało się księgą złotą naszej młodości.

Tak więc nie można nam wyrzucać, że zbyt nisko oceniliśmy cnotę żołnierską.

Ale uwielbienie bez zastrzeżeń, jakie żywimy dla męstwa, bynajmniej nie pociąga za sobą uwielbienia dla wojny. Cnota najczystsza nawet może stanowić czynnik najohydniejszej zbrodni. Najszlachetniejsze wysiłki mogą prowadzić do celu bezużytecznego i szkodliwego. To właśnie ma miejsce na wojnie, która tak często daje sposobność do bezpłodnych aktów poświęcenia.

Przypuścimy, że zbudowaną została olbrzymia maszyna elewacyjna, której przeznaczeniem jest czerpać wodę z morza po to, by o paręset metrów dalej wlewać tę z trudem zaczerpniętą wodę na piaszczyste

wybrzeże. Wolno mi będzie w takim razie zachwycać się siłą maszyny, jej wspaniałymi rozmiarami, potęgą jej kotłów, wytrzymałością poszczególnych części, ale nie będzie mi wolno powiedzieć: „Prowadźcie dalej waszą ciężką pracę“, gdyż cel tej pracy jest najoczywistej idyotyczny. Im piękniejszą i potężniejszą będzie machina, tembardziej służyć mi będzie prawo oburzenia się na tak bezsensowne zużycie owej masy energii.

Dodać przytem należy, że niedorzeczna praca, polegająca na czerpaniu wody z morza i wlewaniu jej z powrotem do tego samego morza, jest tylko nieprodukcyjna, ale nie jest wprost szkodliwa. To tylko oczywiście zatracenie pewnej ilości sił, rozumu i pracy. Ale przynajmniej nikt z tego powodu nie cierpi. Cóż będzie atoli, jeśli ta cudowna machina, zamiast wykonywać pracę bezpłodną, użyta zostanie do pracy zgubnej? Cóż, jeżeli zamiast przelewać wodę morską napowrót w morze, maszyna ta pocnie rozlewać ją po kraju utraconym, ażeby go zniszczyć, pozatapiać łąki, zboża, lub w mieście zalać biblioteki, zbiory obrazów i dzieł sztuki, zrujnować przemysł w całej okolicy, przyprowadzić o śmierć z nędzy kilkuset spokojnych obywateli? Wówczas będę miał wszelkie prawo oburzyć się i piękniej maszynie i uczonym inżynierom, którzy ją zbudowali powiedzieć: „Wstrzymajcie się. — Chociaż dzieło wasze jest doskonałe i potężne, ale jest szkodliwe — zużycie zdolności i siły wasze inaczej“.

Trzeba przyznać, że maszyna podobna nie istnieje wcale, ale czy dlatego, że byłaby absurdem? Nie zdaje mi się. Faktem albowiem jest, że ludzie wymyślili coś jeszcze bardziej bezsensownego: wojnę. Jakkolwiek bowiem potężną wyobrazilibyśmy sobie ową maszynę

elewacyjną, to przecież nigdy nie będzie ona mogła kosztować 20 miliardów franków, nigdy nie będzie mogła spustoszyć 30 departamentów i z całym, pochłoniętym przez siebie węglem, z całą swoją potęgą, nie zdoła w wyrzucanych przez nią falach utopić 200 tysięcy ludzi. Otóż, czego maszyna ta nie dokazałaby, tego w ciągu kilku dni, bez trudu dokazuje wojna. Nie używa się przytem pary, lecz siły wybuchowej prochu, co na jedną wynosi, a cuda techniki zastosowane zostały do szerzenia śmierci i zniszczenia zdumiewająco.

Powtarzam: wartość moralna robotników, skazanych na tę ohydłą pracę, pozostaje tutaj niczem nieobniżoną; oni słuchają tylko rozkazów z góry, oni nie rozumieją zła, które czynią, oni na ślepo wykonywają zadanie, które im zostało powierzone, a które polega na operowaniu potworną machiną. Ich obowiązkiem prawie jest spełnić to dzieło zniszczenia.

Ani jedno słówko potępienia nie powinno być do nich skierowane; pomimo jednakże całego szacunku i podziwu, jaki się należy ich męstwu i energii, niepodobna jest nie ubolewać nad mechanizmem niszcycielskim, którego część składową, prawie nieświadomą, oni stanowią.

Nie potrzebuję tu przypominać, jakie są skutki wojny. Czytelnik już je zna. Są one straszne i hańbią naszą cywilizację.

A zatem potęga, cnota, talent, energia, poświęcenie mogą służyć celom wstępnym. Nie przeczymy ani potędze, ani cności żołnierskiej, ani energii, ani talentowi, ani poświęceniu, jakie przejawiać się mogą podczas bitwy; twierdzimy tylko, że zostają zastosowane fałszywie.

Na co przydały się wojny napoleońskie? Czytelnik wybaczy mi, że powracam do tego przedmiotu, ale człowiek ów był rzeczywiście plagą ludzkiego rodzaju i złym duchem Francji. Niewatpliwie żołnierze Napoleona dali dowody prawdziwego męstwa, ale sprawa, dla której umierali i dla której mordowali, była krzyżującą niesłuszną. Historia już słowo swoje wyrzekła i sąd jej nie zna odwołania. Czyż znajdzie się jeszcze człowiek z sercem i zdrowymi zmysłami, któryby śmiał stanąć w obronie olbrzymiej wyprawy zbojeckiej, znanej pod nazwą wojny hiszpańskiej? Biedne dzieci nasze szły tam umierać, gdyż iść im kazano i za ohydne to przedsięwzięcie po bohatersku oddawały życie. Z pewnością męstwu ich należy się uwielbienie, lecz im większem uwielbieniem przejmują się dla nich, tem bardziej rośnie we mnie oburzenie na ich wodza, którego rozkaz był przyczyną owych rzezi.

Przez lat piętnaście jego zgubna ambicja szalała nad Europą; potoki krwi zostały wylane po to, ażeby tchórze w rodzaju Hieronima, Ludwika, Józefa otrzymali prawo noszenia korony. Szał zbrodniczy niesłychany, który do dziś dnia tak niemiłosiernie ciąży nad losami naszego kraju! Gdy czyta się dzieje wojen religijnych, niejednokrotnie można być oszołomionym przez podziw, jaki wzbudzają prawdziwe cuda bohaterstwa i poświęcenia, wykazywane z jednej i drugiej strony. Między mordercami z nocy Św. Bartłomieja mogli się znajdować bohaterowie, odznaczający się nadzwyczajną odwagą i prawdopodobnie przekonani o świętości swej sprawy. Godzę się z całego serca podziwiać i szanować ich odwagę, ale jestem przekonany, iż nigdy nie zgodziłbym się uznać za czeigodną zbrodnię, która dała im sposobność do rozwinięcia męstwa.



Przy tem wszystkim, mówiąc o odwadze wojskowej, zastanawialiśmy się nad nią z punktu widzenia bardziej teoretycznego, niż praktycznego. W rzeczywistości męstwo żołnierskie posiada także odwrotną stronę medalu. Żołnierz nawet wtedy, gdy poświęca swoje życie, nie jest bynajmniej świętym. Daleko mu do tego. Przestaje on zdawać sobie sprawę z pojęcia cudzej własności; armia w pochodzie nie ma żadnych skrupułów względem rzeczy, napotykaných na swej drodze i stanowiących własność ludzi cywilnych, bez względu na to, czy idzie o dom, zegar, barana, piwnicę albo nawet żonę właściciela i bez względu na to, czy ma się do czynienia z obywatelem własnego kraju, czy nieprzyjacielskiego. Dowódcy nakładają kontrybucye wojenne na mieszkańców, co niezaprzeczenie jest jedną z najuczestniejszych form łupiestwa. Co się tyczy prostych żołnierzy, to idąc za przykładem wodzów, grabią oni co tylko mogą. Grabią przed bitwą i grabią po bitwie. I nie można nawet powiedzieć, ażeby najdzielniejsi z nich byli mniej zapalczywi od innych rabusiami.

Poświęcają oni życie własne, ale też mało sobie cenią życie cudze. Gdybyśmy chcieli opowiadać szczegółowo wszystkie okrucieństwa, jakich dopuszczały się armie najwaleczniejsze, wyszłyby na jaw liczne, a mało budujące fakty. Odwaga wojskowa często — najczęściej — idzie w parze z innymi przymiotami, również czysto wojskowymi, które jednak nie mogą wzbudzić uwielbienia naszego w tym samym stopniu, co odwaga. Są to mianowicie skłonności do rabunku i okrucieństwa.

Przejdźmy jednakże nad tem do porządku dziennego i przypuśćmy po dawnemu, że wszyscy bohaterowie

wojny zawsze są pełni uczucia ludzkości, wspinałomyślni, że są sprawiedliwi, i że zawsze najskrupulatniej szanują cudzą własność.

Czy to znaczy, że po zniesieniu wojny nie będzie już pola, na którym możnaby było praktykować bohaterstwo? Mówiąc inaczej, — czy odważnym można być tylko wtedy, gdy się nosi uniform i szablę? i czy niemożliwym jest dać dowody męstwa gdzieindziej, niż pośród kul i granatów?

Gdyby rzeczywiście tak było, to należałoby stąd wywnioskować, prowadząc konsekwentnie dalej uprzednie rozumowanie, że odwaga może istnieć tylko na polu bitwy w literalnym tego słowa znaczeniu. A zdaje mi się, iż ubliżyłbym niesłusznie dzielnym młodemu ludziom, składającym naszą armię, gdybym posadził ich o brak odwagi, ponieważ od 30 lat nie było wielkiej wojny.

Nie, niema wątpliwości, że nawet podczas pokoju żołnierz i oficer ma możność dać dowody męstwa i poświęcić się dla ojczyzny.

Czyż pole bitwy, zaślane poległymi i rannymi, objęte łuną pożarów, żałobą i zniszczeniem, miałoby stanowić jedyny teren do rozwinięcia dzielności? Miałoby nie istnieć inne męstwo, niż żołnierskie, inne drogi do zdobycia tytułu męznego, a nie samo tylko mordowanie ludzi? Jeżeli odwaga polega wyłącznie na narażaniu własnego życia, to liczne jej przykłady możemy znaleźć wokoło siebie.

Chemicy, którzy badają własności materyałów wybuchowych, inżynierowie, którzy budują maszyny nowej konstrukcyi, geografowie i marynarze, zapuszczający się w niezbadane dotychczas okolice globu ziemskiego, aeronauci, którzy się wznoszą na nieosiągnię-

te dotychczas wysokości, ażeby odkryć tajemnicę otchłani powietrznych, fizyologowie, którzy prowadzą badania nad jadami chorobowymi lub truciznami — wszyscy ci ludzie, zarówno jak fachowcy wojskowi, dają dowody pewnej odwagi. Czyż nie oklaskiwano jeszcze wczoraj jednego z największych zdobywców pokojowych, bohaterskiego Nansena, który nie poświęcając ani jednego życia ludzkiego umiał wykazać taką energię i taką zuchwałą odwagę, jaką i w najdzielniejszych dowódcach wszystkich czasów nie często można spotkać?

Uczynilibyśmy pojęcie odwagi niezwykle ciasnym, gdybyśmy ją przypisywali jedynie ludziom noszącym mundur. Wszystkie zawody wydają bohaterów, nie można zaś powiedzieć, aby wartość heroizmu zmniejszała się w miarę tego, im on jest cichszym i bardziej dalekim od samochwalstwa.

Właściciel barki rybackiej, udający się na połów do wysp Neufunlandzkich, dowodzi czterdziestoma ludźmi, z których każdy musi się odznaczać nadzwyczajną dzielnością. Cierpliwość, karność, zręczność — czegoś tam nie trzeba, gdy przyjdzie takiej łupinie z orzecha walczyć z rozszalałym orkanem! Lekarz, prowadzący kurację chorych tuberkulicznych lub ospowatych, ma pod swymi rozkazami infirmerów, służbę szpitalną, skromnych pomocników, którzy w każdej chwili wystawieni są na zarażenie najstraszliwszymi chorobami. Inżynier, kierujący eksploatacją kopalni, dobywa z jej głębi węgiel pracą setek górników, których pierwszy lepszy wybuch gazów lub zawalenie sklepienia może pozbawić życia. Nawet włościanin do pewnego stopnia i na swój sposób wstępuje w ślady bohaterów, bo niebylejakiego hartu ducha trzeba, by pracować i pra-

cować nieustannie przez lata całe za marne wynagrodzenie, w pogodę, czy niepogodę, pomimo przeszkód, trudności i niebezpieczeństw wszelkiego rodzaju.

Wszystkie te akty męstwa ustępują odpowiednim czynom wojskowym o tyle, że są mniej poetyczne, mają jednak nad nimi tę niezaprzeczoną przewagę, że są pozytywne, podczas gdy tamte są szkodliwe. Wynik ostateczny wielkiej wojny, jakimkolwiek byłoby męstwo rozwinięte przez żołnierzy stron obu, w najlepszym razie nie przynosi ludzkości żadnej korzyści.

Tu niechaj mi będzie wolno przytoczyć zdarzenie, godne zestawienia z najsłynniejszymi aktami bohaterstwa, jakie opiewali starożytni. Jest to zachowanie się w pewnych okolicznościach żony konsula francuskiego w jednym z miasteczek armeńskich. Banda żołnierzy tureckich wyrznęła już, wedle zwyczaju, pewną liczbę Ormian, a pasza miał ochotę zgotować ten sam los i pozostałym. Sprzeciwia się temu konsul francuski i udaje mu się wymóżyć na władzach miejscowych rozkaz odstawienia nieszczęśliwych do jakiegoś portu europejskiego. Konsul jednakże nie może towarzyszyć Ormianom, gdyż nie ma prawa opuszczać swego stanowiska. Co robić? Jeżeli pozwoli im odejść samym, los tych ludzi nie podlega żadnej wątpliwości, zostaną oni wymordowani w drodze. Wobec tego, żona konsula, pani Meynier, decyduje się służyć za eskortę trzystu wygnańcom. Może tytuł konsulowej i Francuzki wystarczy im za ochronę! Ma ona dwoje dzieci, z których jedno jeszcze przy piersi. To nic; pójdzie i tak. Dwoje maleństw stanowi czoło kolumny, sama zaś pani Meynier zamyka pochód, ażeby takim sposobem zabezpieczyć jakoś życie tych, którym zdecyd-

wała się służyć za obronę. Podczas dwóch tygodni marszu przez kraj wrogi, ani razu nie cofa się przed spełnieniem tego, co uważa za swój święty obowiązek. W pewnej chwili gubernator którejś prowincyi wzbrania przejścia oddziałowi banitów. Wówczas pani Meynier każe przeprowadzić przez rzekę swych dwoje dzieci i oświadcza, że choćby miały tam umrzeć z głodu, ona nie pojedzie do nich, dopóki cała gromada Armeńczyków nie znajdzie się na drugim brzegu w pierw od niej. Onieśmielony pasza ustępuje.

Oto w jaki sposób odwaga jednej kobiety uratowała życie trzechset ludzi. Chociaż nie jest to odwaga wojskowa, każdy jednak przyzna, że stoi ona na wysokości najświetniejszych czynów rycerskich.

Męstwo żołnierza na polu bitwy stanowi szlachetny wzór do naśladowania, lecz męstwo to nie może być inaczej praktykowane, jak tylko pośród krwi i łez, rabunku, zniszczenia, pożaru. Być może, iż niegdyś było ono niezbędnem; żywimy jednak nadzieję, że niedługo stanie się zupełnie zbytecznem.

Chociaż wojna istnieć przestanie, źródła, z których płynie męstwo i honor trwać będą nadal. Wielkie, szlachetne czyny pozostaną jeszcze do spełnienia. Zamiast zużywać męskie cnoty nasze w służbie śmierci, zużyjemy je w służbie życia.

Otoczająca nas materya jest tak mało zbadana: postaramy się przeniknąć jej tajemnice. Dopiero za cenę znajomości wszechrzeczy nastąpi ostateczne wyzwolenie człowieka. Skarby energii, odwagi, inteligencji będą musiały być wyekspensowane, zanim zazdrośnej przyrodzie wydrzeć zdołamy wszystko, co przed nami ukrywa. Nie będzie zbytecznem współdziałanie

wszystkich wysiłków, na jakie nas stać w naszym przedsięwzięciu bezmiernem. Dość będzie pola i dla poświęceń bohaterów i dla wytrwałej pilności maluczkich.

Nie będziemy się więc starali z serc dzieci naszych wydierać miłości ojczyzny, lecz przestaniemy utożsamiać miłość naszej ojczyzny z nienawiścią ojczyzn obcych. Wskazywać będziemy młodym ludziom ideał, do którego osiągnięcia dążyć mają odwagą osobistą, nie cofającą się przed niebezpieczeństwem, ani przed śmiercią: ducha poświęcenia, szlachetności, sprawiedliwości. Bohaterem dla nas nie będzie ten, kogo nieustannie chwala książki historyczne: despota, który dla miłości własnej, miłości siebie samego, zmusza ludzi stworzonych na to, by się kochali, do szarpania się wzajemnego nakształt dzikich zwierząt. Inny wzór wskażemy synom naszym. Wpoiny im przekonanie, że wżgarda śmierci jest ideałem, do którego dążyć należy pod tym jednak warunkiem, iż poświęcenie własnego życia ulżyć może jakiejś nędzy ludzkiej. A ponieważ wojny zdobywcze mają urok niepokonany, preto możemy ich zapewnić, że jeszcze liczne wojny zdobywcze stoczyć będzie trzeba nie z ludźmi — lecz z przyrodą.

Tak, duch musi poskromić materję, niepodległość istot ludzkich, braci naszych, będzie nagrodą za walkę pracowitą, którą przedsięwziąć należy z całą energią i odwagą dotychczas obracaną na mordowanie się wzajemne.

Prawdziwie, nastaną nowe czasy! Dzień, w którym kolosalna suma sił, cnót i zdolności, obracanych dotychczas przez ludzkość na własną zgubę, zostanie

zużyta w celach postępu materyjalnego i moralnego,—  
dzień ów nie pograży nas w letargu, nie odda nas ze-  
psuciu, ale otworzy przed nami świat lepszy od na-  
szego.

Jeszcze jeden wysiłek a dzień ten nastąpi!

#### IV.

### Czy zniesienie wojny jest utopią?

Rozwodziliśmy się długo nad poglądami tych nie-  
licznych pisarzy, którzy mają odwagę występować w  
charakterze apologetów wojny.

Odpowiedź na ich argumenty nie jest jednak rze-  
czą najważniejszą, najczęściej bowiem zagadnięty za-  
dawała się repliką — setki razy słyszałem to liche  
twierdzenie — następująca: „Wojna — to zło, lecz zło  
konieczne; starając się ją zwalczać, stajecie naprzeciw  
niemożliwości; wy, zwolennicy pokoju jesteście marzy-  
cielami, utopistami i celu waszego nie osiągniecie ni-  
gdy“.

Każdemu wiadomo, że ze wszystkich sposobów  
zwalczenia cudzych przekonań, najwygodniejszym i  
najpewniejszym jest nazwanie poglądów przeciwnika —  
utopią. Jest to cios niemożliwy do odparowania, gdy  
teorya zostaje osądzoną bez dyskusyi. My jednakże nie  
tak łatwo uznamy się za zwyciężonych.

Wyraz „utopia“ wypowiedzieć łatwo; chcielibyś-  
my jednak naprzód wiedzieć, co dzieli utopię od rze-  
czywistości. Dzieli ją kwestya czasu — nie więcej.

Wczorajsza utopia — dziś staje się rzeczywistością. Dzisiejsza utopia nie jest niczem innym, jak tylko rzeczywistością dnia jutrzejszego.

Dość jest wyliczyć wszystkie wielkie zdobycze cywilizacji, ażeby tem samem wskazać szereg chimer, na które przodkowie nasi wzruszali ramionami. Przekopanie kanału Suezkiego przez wieki całe było uważane za przedsięwzięcie śmieszne. Co za waryacki pomysł łączyć dwa morza, przerabiać to, co uczyniła sama przyroda! Przedewszystkiem powierzchnie morza Śródziemnego i morza Czerwonego nie są na jednakowym poziomie. Powtóre, nie będzie wody do wypełnienia tego kanału. Po trzecie, zostanie on w krótkim czasie zasypany przez piaski. Po czwarte, mocarstwa sprzeciwia się przekopowi. Po piąte, gdyby nawet zdołano przekopać ten kanał, to transporty handlowe na tej drodze będą prawie żadne, okręty będą osiadały na mieliznach i t. d.

Wielkie i uczone tomy zapełniano argumentami przeciw tej chimerze. Co się stało potem, wiadomo. Wystarczyło energicznej woli jednego człowieka, aby zrealizować to, co uczeni, inżynierowie i politycy uważali za niemożliwe.

Niewolnictwo przez długi czas uchodziło za jedną z najbardziej fundamentalnych podstaw prawa. Największe umysły — nawet Arystoteles — wskazywały na nie, jako na jedną z podstaw porządku społecznego. Naruszenie niewolnictwa znaczyło tyle, co wstrząśnienie posadami całego społeczeństwa. A jednak naruszono je i, zdaje się, że nie uczyniono źle.

Wszelki postęp człowieczeństwa, czy to moralny, czy materialny, był w swoim czasie uważany za utopię. Równość obywateli przed prawem, powszechnie i

równe dla wszystkich prawo głosowania, skasowanie tortur, zaprzestanie procesów o czarownictwo, oto szereg byłych utopii, utopii, o których najodważniejsi myśleć nawet nie śmieli. A jednak stały się one rzeczywistością i jeżeli dziwimy się dzisiaj, to chyba tylko temu, że te „chimery“ mogły wydawać się nonsensem przodkom naszym.

Co się zaś tyczy zakresu nauk ścisłych i przyrodniczych, to tutaj już wprost niemożliwym jest odróżnić utopię od rzeczywistości. Co pomyślałyby sobie współczesny Voltaire'a, co pomyślałyby Voltaire sam, gdyby mu powiedziano, że mowę cesarza japońskiego można w godzinę po jej wypowiedzeniu w Tokio czytać w Paryżu; że można w ciągu mniej niż doby przejechać przestrzeń z Paryża do Berlina, że podróż naokoło świata można odbyć w 50 dni?

Co pomyślałyby sobie jeszcze ten sam Voltaire, gdyby mu powiedziano: „Wszystkie formy wszelkich ruchów mogą być utrwalone na papierze i dać w ten sposób odbicie swe dokładne i szczegółowe. Można odtworzyć podobiznę sztuk złota, które pan masz w kieszeni, nie wyjmując ich stamtąd. W tym małym flakoniku zamknęliśmy zarodek tuberkułów, w tym drugim zarodek cholery, w jeszcze innym zarodek dżumy. Operacje chirurgiczne najkrwawsze i najdłuższe nawet nie będą dobywały jednego krzyku boleści z ust rannego. Artykuł, który pan dopiero co napisałeś, w ciągu dwóch godzin zostanie rozdany milionowi czytelników, a w ciągu mniej niż jednego dnia można przygotować tyle egzemplarzy, ilu ziemia liczy mieszkańców. Możemy powiedzieć panu, jakie metale wchodzi w skład tej lub owej gwiazdy, chociaż przestrzeń, dzieląca nas od najbliższej z nich, wynosi kilka miliardów mil“.

Wszystkie te twierdzenia przyprawiłyby o niepowstrzymany atak śmiechu człowieka najprzenikliwszego i najinteligentniejszego tamtej epoki i niewątpliwie odesłałby on niefortunnego proroka „do czubków“.

Te cuda onegdajsze są jednakże dzisiaj rzeczywistością, są faktem tak powszednim, tak banalnym, że nie dziwią już nawet małych dzieci. Te wszystkie utopie, które kiedyś przewyższały najbardziej chimeryczne fantazje marzycieli najśmielszych, dziś znajdują się w pełni eksploatacji przemysłowej! Ażeby je osiągnąć i zrealizować, wystarczyło stu lat!

W ciągu stu lat ludzkość uczyniła krok olbrzymi. Świat zmienił swą postać. Śnieżne pola Kanady stały się jedną z najurodzajniejszych okolic ziemi. Dwa miliony Amerykanów są obecnie osmdziesięciomilionowym narodem. Australia, której nazwa sama była prawie nieznaną, posiada wielkie miasta, nie mniej ucywilizowane od Paryża, a większe, niż Paryż za Ludwika XV-go.

Przez kanał Suezki przepływa codziennie trzydzieści statków, z których każdy niesie dziesięciokrotnie większą ilość towaru, niż kiedykolwiek był w stanie pomieścić największy żaglowiec.

Sto lat! na to wszystko trzeba było tylko stu lat!

Sto lat — to trzy pokolenia ludzkie!

I są mimo to ludzie, którzy nam opowiadają o utopiach i tłumacza, co jest możliwe, a co niemożliwe!

W nauce nieprawdopodobieństwom codziennie przeczą fakta. Nigdy — zapewniał J. Muller — nie uda się obliczyć szybkości, z jaką prąd nerwowy przebiega włókna nerwowe. W dwa lata później, za pomocą metody, równie prostej, jak dowcipnej, Helmholtz zmierzył tę szybkość z absolutną pewnością. Prevost i Dumas

twierdzili, że nigdy nie zostanie odkrytą substancja, barwiąca krew, tymczasem dzisiaj jest to doświadczenie klasyczne. W tym samym czasie, kiedy odkrywano własności chloroformu, Magendie oburzał się na utopistów, wierzących w taką chimere, jak znieczulenie operowanego organizmu. Wszystkie wielkie odkrycia miały przeciwników zajadłych. Potężne stronnictwo, stronnictwo rutyny stawało zawsze w poprzek wszelkiej nowości, wszelkiemu postępowi.

Otóż, stronnictwo to, to legion. Ono ma rządy w rękach, ono urabia opinię, pod kierownictwem pewnych przywódców, ma bowiem wodzów, stosownie do wypadku, noszących togę profesora lub epolety oficerskie.

Znamy ich dobrze, tych mistrzów rutyny, fanatyków przeszłości. Jeszcze żyje wśród nas ich typ nieśmiertelny, słynny Tomasz Diafoirus, który nigdy nie słyszeć nie chciał o rzekomych odkryciach tegoczesnych, dotyczących procesu krążenia oraz innych bzdurstwach ejuudem *farinae*. Harvey, Lavoisier, John Bright, Darwin, Pasteur, Jenner, Cobden — musieli walczyć z tymi ludźmi, lecz potrafili ich zwyciężyć i ruszyć dalej naprzód.

Nie należy jednak pogardzać tem wielkim stronnictwem przeszłości, tą opozycją przeciw nowym ideom. Jasnem jest bowiem, że gdyby co roku społeczeństwo musiało na nowo przerabiać wszystkie swoje poglądy, wszystkie prawa, wszystkie zasady, to musiałoby upaść. To wieczne stawanie się, formowanie na nowo, byłoby nie do zniesienia. Pewna stałość jest konieczna i nie możemy uważać za złe, jeżeli obrońcy dawnego porządku wywierają jakiś wpływ w państwie. Ale to upieranie się przy błędach przeszłości jest do wybaczenia tylko wówczas, gdy błędy są godne szacunku!

Jeżeli idzie o wojnę, która dla błahych powodów pozabawia życia tysiące ludzi, albo o militarizm, który oglupia i zuboża, to uporą w złem darować nie można. Tomasz Diafoirus przestaje być tylko śmiesznym, a staje się wstrętnym.

Jedyny argument, jaki na korzyść wojny przytoczyć można, to ów syllogizm naiwny, przeznaczony do bałamucenia umysłów prostych: — Wojna była zawsze, więc i będzie zawsze. Ależ, zanalizujcie piękne frazesy wielbicieli współczesnego społeczeństwa, odbierzcie im ozdoby retoryczne, a pozostanie tylko to rozumowanie niedorzeczne: Wojna była zawsze, więc i będzie zawsze.

Takie to są owe potężne racje, skłaniające do walki z wszelkim postępem, zarówno moralnym jak i materialnym.

Stevne opowiada gdzieś o pewnym człowieku, który przez pięćdziesiąt lat swego życia cierpliwie znosił przeraźliwe skrzypienie zawiasu u drzwi wchodowych do swego pokoju. Nareszcie pewnego dnia — a był już bardzo stary — wlał w zawiasę kroplę oliwy i zgrzyt ustał. Tak i my: od wieków znosimy plagę wojny, a niewiele potrzeba, aby ją znieść. Tylko chcieć.

Że zniesienie wojny nie jest utopią, widzimy jeszcze z tego, iż pokój w pewnych okolicznościach może być długotrwałym. Dla dowiedzenia niezbitym przykładem, że narody mogą istnieć bez wojny, wystarcza zupełnie, ażeby gdzieś przez lat dziesięć panował niczem nienaruszony pokój. Tak, jak za dowód ruchu używamy tegoż samego ruchu, możemy również dowiedzieć, że pokój jest możliwy, przedłużając stopniowo przerwy, dzielące w czasie jedną wojnę od drugiej. Do czegoż w tym wypadku zredukowaną zostanie na-

sza utopia pokojowa? Do utrzymania nadal sytuacji, w jakiej znajdujemy się od lat trzydziestu. Trzydzieści lat żyliśmy w pokoju, ale lada drobiazg, lada żdźbło może wciąż jeszcze spowodować wojnę. Nie dajmy temu drobiazgowi, temu żdźbłu sprowadzać na nas rozszalały orkan — a program nasz będzie urzeczywistniony.

Wystarczyłoby więc zupełnie, gdyby wszyscy ludzie, miłujący pokój, odważyli się powiedzieć, iż nie życzą sobie wojny. Biedacy ci jednak boją się uchodzić za złych patriotów, więc milczą. Tymczasem, gdybyśmy chcieli wybadać oddzielnie każdego z wojowniczych szermierzy słowa, to przekonalibyśmy się, że i oni nawet nie są tak wojowniczo usposobieni, jak się to wydaje. Jest to pewnik niezaprzeczony. Zapytajcie ludzi z gminu: chłopów, robotników, żołnierzy przedewszystkiem, to zlekceważone mnóstwo, które się posyła na śmierć, dając mu w zamian obietnicę sławy — a przekonacie się, co wam rzekną, bez względu na to, czy urodzili się w Bretanii, Saksonii, Toskanii czy Szkocji. Wszyscy oni zarówno dobrze wiedzą, że wojna jest złem, i gdyby mieli głos jakiś w tej sprawie, wojny ustałyby zaraz. Jakkolwiek zaślepieni są ci nieszczęśliwi, zrozumieli jednakże, że wojna to cierpienie, choroby, kalectwa, nędza i śmierć.

Jedynymi zwolennikami jatek międzynarodowych jest pewna liczba zuchwałych oficerów, którzy wojnę uważają za korzystny zawód, przynoszący im awanse, odznaki honorowe, pensje. Prócz nich jest jeszcze pewien procent głów szalonych, odważnych częstokroć, pełnych junackiej fanfaronady, zawsze gotowych bić się i umierać w boju, lecz niezdolnych zresztą do niczego innego. Tym jeszcze łatwiej, wybaczyć, bo przy-

najmniej nie kryją się w chwili niebezpieczeństwa. Ale prawdziwi zwolennicy wojny, ci, co najgłośniej krzyczą, to teoretycy militarizmu, którzy w dniu niebezpieczeństwa, na wzór dyrektorów małych pisemek, pozostaną w domu przy ciepłym kominku, przeglądając z zadowoleniem biuletyny wojenne, nadesłane z placu boju: to dziennikarze ladający, intrzyganci polityczni, starający się o względy szynkarzy — wyborców, to cały światek polityków, adwokatów bez spraw, pisaków bez sumienia, ludzi wykolejonych i pozbawionych czci. Oto zwolennicy wojny. Jeżeli do zgrai tej doliczymy starców bezdzietnych i bez rodziny, zaślepionych w egoizmie starych kawalerów, szaleńców, alkoholików, dostawców, którym uśmiechają się wielkie zyski, giełdziarzy i spekulantów, pragnących na nieszczęściu publicznem zarobić, szlachetne damy, cheiwe wzruszeń nowych, kulawych paralityków, kaleków, którzy pewni są, że nie pójdą pod chorągwie — to nie pozostanie już chyba nikt, ktoby sobie mógł życzyć wojny.

Bo rzeczywiście wojna jest plagą, nienawistną dla wszystkich. Na mocy więc jakiego dziwnego zбочenia ta jednomyślna niechęć pozostaje bez skutku? Kogo tu oszukują? jak mawiał Figaro. Wszyscy jesteście tegoż samego edania; dlaczegóż nie zadekretujemy usunięcia tego wielkiego zła? Jak można mówić, że idzie tu o utopię, jeśli wszyscy zgadzamy się na jedno?

Gdyby dobrzy obywatele francuscy i dobrzy obywatele niemieccy mogli się ze sobą porozumieć bez pośrednictwa złych i bezmyślnych dzienników, które ich oszukują, to zgoda nastąpiłaby bardzo prędko i przestano by myśleć o wystrzeliwaniu się wzajemnem. Nikt jednak nie mówi, nikt nie stara się zrozumieć

drugiego, a natychmiast wszyscy słuchają przewrotnych doradców, którzy w Francuzów wmawiają: „Niemcy was nienawidzą“, a Niemcom podszeptują: „Francuzi myślą tylko o tem, jakby was wyróżnić“.

Czyż nie znajdują się ludzie dobrzy, którzy obu narodom powiedzą: „Oszukują was, zdradzają was, wyzyskują was; nieprzyjaciele wasi nie znajdują się na zewnątrz, lecz między wami“.

Ciemnota — oto prawdziwa przyczyna wojen. Niezszczęsny ten żer dla armat nie umie rozróżnić, gdzie dla niego jest odkupienie, i głosuje przeciwko obrońcom swoim. W kilkotygodniowych odstępach, we Francyi, Anglii i Włoszech biedacy ci przez nieświadomość popełnili trzy potworne błędy, prawie trzy zbrodnie, zbrodnie głupoty bardziej jeszcze, niż niewdzięczności. W Paryżu, Fryderyk Passy, szlachetny i niezmordowany apostoł pokoju, nie został ponownie wybrany. W Medyolanie Teodoro Moneta, mężny bojownik idei sprawiedliwości międzynarodowej, nie został ponownie wybrany. W Londynie Randal Cremer, który pierwszy powziął wspaniałą myśl urządzenia międzynarodowej parlamentarnej konferencji w sprawie powszechnego pokoju, nie został ponownie wybrany!...

Nadejdzie jednakże dzień, już niedaleko — cóż znaczy sto lat, co znaczy nawet trzysta lat w życiu narodów — kiedy ludy opamiętają się.

Jesteśmy ofiarami kolosalnego nieporozumienia, a świat dzisiejszy znajduje się w sytuacji, którą tu przedstawię na przykładzie: Dwieście osób na sali. Oprócz pięciu wszystkie są jednego zdania. Te pięć niezgodnych czynią jednakże taki hałas i wrzeszczą tak mocno, że w ostateczności udaje im się zterroryzować 195 pozostałych nieśmiałych, naiwnych, mało ener-



gicznych i obawiających się kompromitacji ludzi — a w ten sposób pięciu krzykaczy, wbrew powszechnej opinii, zostaje panami placu i zagarnia władzę. Przyjaciele wojny stosunkowo nie są liczniejsi, ale czynią taką wrzawę, że głuszą i terroryzują innych. Szczęściem my nie damy się przestraszyć i deklamacye ich nie skłonią nas do milczenia. My to zmusimy biednych naszych ogłupionych i zaślepionych braci do powiedzenia głośno, co myślą. Nieporozumienie, ciemnota, błąd, nie mogą trwać dalej i tak bowiem trwają już zbyt długo.

A więc rozpatrzmy drogi, któremi ludzkość osiągnąć może wyzwolenie.

V.

### Zasada sądu rozjemczego (L'arbitrage).

Srodek zaradczy przeciw wojnie tak jest prosty i tak skuteczny, że doprawdy trudno wybaczyć, iż dotychczas nie został zastosowany.

Bez wątpienia, zamiast uciekać się do sądu rozjemczego, byłoby jeszcze prościej i jeszcze skuteczniej — usunąć całkiem spory, kłótnie i nienawiści; lecz braterstwo takie, któregoby żadna chmurka nie zacieniła, jest niemożliwe. Usunięcie zupełne niechęci i niezgody — o toby była dopiero prawdziwa utopia. Należy nawet za pewne uważać, iż i w przyszłości pomiędzy różnymi narodami wybuchać będą spory poważne, namiętne, liczne, a dotyczące spraw najrozmaitszych. Lecz dla rozstrzygnięcia ich wybierać trzeba między siłą a prawem. Siła — to wojna, to sposób postępowania właściwy dzieciom, zwierzętom, ludziom dzisiejszym; drugi sposób — to prawo, a prawo — to odwołanie się do trybunału polubownego.

Pierwszą zasadą prawa jest: iż nie można wymierzać sobie sprawiedliwości samemu i że nie powinno się być sędzią we własnej sprawie. Wszelkie poróżnienie, aby być osądzonem, wymaga koniecznie ist-

nienia strony trzeciej, do której należałoby rozstrzygnięcie sporu pomiędzy współzawodnikami. Wszystko przytem jedno, czy nieporozumienie zaszło pomiędzy dwoma obywatelami tegoż kraju, czy między dwoma krajami.

W następnym rozdziale przekonamy się, że sąd rozjemczy nie jest utopią, że stale i regularnie bywa stosowany, że od lat trzydziestu wszedł w obyczaj dyplomatyczny i że wystarczy rozszerzyć go i uogólnić, a stanie się podstawą prawa międzynarodowego. W tym jednakże rozdziale chcemy jeszcze wytłomaczyć, na czem polega ów sąd i jak jest urządzony, a także odpowiedzieć na zarzuty, śmieszne czy poważne, jakie próbowano mu czynić.

Zaznaczamy naprzód różnicę pomiędzy pośrednictwem a sądem polubownym. Dwa rządy nie zgadzają się w jakiejś kwestyi; rząd trzeci, w chęci odwrócenia poważnego i krwawego zatargu między narodami współzawodniczącymi, ofiaruje im swoje pośrednictwo, które też zostaje przyjęte. Fakt ten bynajmniej nie zobowiązuje żadnego z dwu krajów, które pośrednictwo przyjęły lub nawet o nie prosiły, do poddania się decyzji pośrednika. Wolno im odrzucić jego propozycyę, gdyż do niczego się nie zobowiązały. Pośrednik sam również nie rości sobie pretensyi do urzędu sędziego, bezstronnego i surowego. Nie obiecuje on, iż będzie się trzymał sprawiedliwości, mówi tylko prosto, że uczyni wszystko, co jest w jego mocy, dla zapobieżenia grożącej wojnie.

Dlatego pośrednictwo nie wystarcza. Lepsze jest, niż nic — z pewnością. Daje stronom przeciwnym czas do namysłu, pozwala na wyszukanie takiej formy wzajemnego układu, któraby pozwoliła uniknąć rozlewu

krwi, ale nie stanowi ono przeszkody dla wojny. Niech tylko — jak się to często zdarza — namiętności stron obu będą podburzone przez zawziętą polemikę dzienników, a pośrednictwo okaże się daremnem.

Zasada sądu rozjemczego jest całkiem inna. Warunkiem wstępnym jest tutaj zobowiązanie uprzednie obu stron, zawierających umowę, iż poddadzą się wyrokowi obranego rozjemcy. Jakimkolwiek byłby ten wyrok, przyrzekają strony nie uciekać się do siły, lecz poddać się bez zastrzeżeń wydanej decyzji. Zarazem rozjemca zobowiązuje się w sumieniu swojem sądzić sprawiedliwie i przyznać racyę słuszości.

Kiedy dwaj zwaśnieni obywatele odwołują się do trybunału — ten ostatni staje się rozjemcą między nimi. Dobrowolnie czy nie dobrowolnie, obaj zmuszeni są poddać się orzeczeniu trybunału, który znów ze swej strony sądzi wedle sprawiedliwości i w ostatniej instancji.

Zobaczmy teraz, jakie istnieją rozmaite rodzaje sądu rozjemczego międzynarodowego.

Może on być stały lub jednorazowy, całkowity lub częściowy, dowolny lub obowiązujący.

Sąd rozjemczy jednorazowy stosuje się wówczas, gdy dwa poważnione rządy postanawiają oddać spór swój do rozstrzygnięcia rozjemcy specjalnie dla danego wypadku wyznaczonemu. Rozjemcą tym może być albo osoba pojedyncza, np. jakiś monarcha, wysoki urzędnik lub dyplomata, albo też rodzaj trybunału, złożonego z kilku osób, imiennie wyszczególnionych.

W każdym razie rozjemca ów jest nim przypadkowo, na jeden raz, wskutek dowolnego wyboru. Powołany został do rozstrzygnięcia li tylko danego nieporozumienia, nie zaś jakiegokolwiek innego.

Co innego sąd rozjemczy stały.

Dwa państwa, nawet będące w danej chwili w zupełnej ze sobą zgodzie, zawierają wzajemny układ, mocą którego w razie jakiegoś zatargu między nimi nie wolno uciekać się do wojny, lecz należy spór oddać rozjemcom, mianowanym uprzednio i wyznaczonym specjalnie. Włochy z rzeszpospolitą Argentyńską zawarły układ rozjemczy stały i, co zatem idzie, mianowały rozjemców, którzy zajmą się rozpoznaniem wszelkich w przyszłości zajść mogących kwestyi spornych, oraz rozstrzygnięciem ich ostatecznem i nieodwołalnem.

Z pod jurysdykcji sądu tego żaden z obu krajów, związanych umową usunąć się nie może.

Traktaty rozjemcze stałe odpowiadają więc w prawie międzynarodowem w stopniu daleko wyższym, niż rozjemstwa doraźne — sądom cywilnym, załatwiającym procesy pomiędzy osobami prywatnemi; trybunały cywilne bowiem tak samo zasiadają stałe, a nie są mianowane specjalnie dla rozsądzenia tej lub owej sprawy.

Traktat rozjemczy może być całkowity lub częściowy.

Oto jak należy rozumieć tę różnicę.

Zawierając układ rozjemczy stały, można objąć nim albo wszelkie możliwe zawikłania, jakie między umawiającymi się stronami zajść mogą, albo też tylko niektóre z pomiędzy nich.

Np. Włochy i Argentyna mogły sobie powiedzieć: przedłożymy trybunałowi rozjemczemu do decyzji wszelką różnicę zdań, dotyczącą emigrantów włoskich w Argentynie, wszelkie jednak nieporozumienia inne, nie odnoszące się do życia i własności prywatnej Włochów, nie będą podlegały kompetencji tego sądu. Gdy-

by więc okręt wojenny argentyński przypadkowo czy rozmyślnie zatopił okręt włoski — to rozstrzygnięcie tej sprawy nie należy do sędziów, albowiem traktat rozjemczy stosuje się tylko do kwestyi emigracyi, a nie obejmuje innych ewentualności.

Toż samo może się zdarzać przy układach rozjemczych doraźnych. W takim wypadku sędzia rozjemczy ma mandat do rozstrzygnięcia tylko tego lub owego punktu kwestyi spornej, poza którym wszelka mogąca się wykazać różnica zdań nie wchodzi już w jego atrybucye.

Traktaty rozjemcze mogą być jeszcze obowiązujące lub dowolne; to znaczy, że strony mogą zawczasu nałożyć na siebie przymus zwracania się do rozjemcy we wszelkiej, jakaby tylko wywiązać się mogła kwestyi, czyli zabronić sobie samym, w sposób absolutny, toczenia wojny. Jest to umowa rozjemcza obowiązująca. Mogą jednakże zastrzedz sobie naprzód, że odwołanie się do rozjemstwa będzie dowolne i że w razie poróżnienia można go użyć lub nie.

Oto są różnice, zachodzące między rozmaitymi rodzajami traktatów rozjemczych. Łatwo się zorientować, że traktaty doraźne, częściowe i dowolne przynoszą pewną korzyść li tylko dlatego, że prawo międzynarodowe znajduje się dzisiaj w opłakanym stanie. Gdyby prawo to było regularne i surowe, rozjemstwa wymienionych wyżej kategorii okazałyby się całkowicie niewystarczającami. Przedewszystkiem, jeżeli sąd polubowny występować będzie tylko doraźnie i zależnie od dobrej woli przeciwników, to nie należy się spodziewać zbyt wielkich skutków z jego działalności. W ciągu kilku godzin polemiki prasa swemi kłamstwami, złą wiarą, szowinizmem egzaltowanym potra-

fi doprowadzić w umysłach ludności drobny, nie nie znaczący spór do rozmiarów żywotnej sprawy angażującej cześć narodową. Namiętności rozognią się, stare nienawiści odżyją i wzburzą społeczeństwo, jak wino podczas gwałtownej fermentacji. Już nie czas będzie odwoływać się do rozumu, do rozsądku. Rozpamiętanie ślepej wściekłości zniszczy w zarodku wszelką próbę zgody, a sama myśl interwencji rozjemców wywoła krzyki oburzenia stron obu, do tego stopnia każda z nich przekonaną będzie o swej słuszności. W najlepszym razie tacy doraźni arbitrowie przydaćby się mogli przy łagodzeniu drobnych nieporozumień, które i bez ich pośrednictwa nie wywołałyby wojny.

Trzeba więc, aby rozjemstwo było stałe, to znaczy, postanowione na mocy ugody, zawartej jeszcze przed wybuchem kłótni. Wówczas, w razie pojawienia się konfliktu, trybunał będzie powołany do działania samą siłą rzeczy i żadnemu ze spórzawodników nie będzie służyło prawo usunięcia się z pod jego jurysdykcji. Dla tej samej przyczyny sąd rozjemczy musi być obowiązujący. Jeżeli jest dowolny to prawie tak, jakby go nie było wcale.

Tylko ktoś bardzo naiwny, może przypuszczać, że strona odwoła się do sądu, jeżeli jej wolno przejść mimo. Wyobraźmy sobie, że pozwolono mi wymierzyć sobie samemu sprawiedliwość w kłótni między mną a moim sąsiadem. Jeżeli wiem, że jestem silniejszy i jeśli prócz tego jestem przekonany o swej słuszności, to nigdy nie poniżę się do szukania sędziów. Przeciwnie, wierząc w swoją rzekomą rację, pewien bezkarności, ponieważ mam za sobą siłę, śmiało przedsięwezmę napaść na mego przeciwnika, zartując sobie z dowolnego rozjemstwa.

Wynika więc z powyższego wywodu, że układ rozjemczy może dać dobre rezultaty tylko wówczas, gdy jest zarazem stały, całkowity i obowiązujący.

Czy ustanowienie takiego trybunału jest możliwe? Postaramy się na pytanie to odpowiedzieć, przedtem jednakże wspomnieć musimy, co inni w tej kwestyi pisali.

Szereg doskonałych książek omawia szczegółowo tę sprawę. Wymienię tutaj tylko niektóre, jak memoryał p. Descamps, senatora belgijskiego, który przedstawił Izbie wspaniały projekt ogólnego międzynarodowego sądu rozjemczego, godne uwagi przemówienie pana Mérilhon, prokuratora przy Izbie kasacyjnej, jasne i rzeczowe artykuły p. Artura Desjardins, prace Instytutu prawa międzynarodowego, sprawozdania kongresów pokoju i konferencji międzyparlamentarnej. P. Saint John Armstrong wydał dwa duże tomy o rozjemstwie, a Akademia nauk moralnych i politycznych za opracowanie tego tematu przeznaczyła jedną ze swych nagród. Dzienniki rozmaitych krajów, poświęcone idei pokoju, jak „L'Arbitrage“ we Francyi, redagowane przez p. Ed. Thiaudière; dziennik „Concord“, kierowany przez p. Hodgson Pratta; „Vita internationale“ p. T. Moneta; „Correspondance bimensuelle“ p. Elie Ducommun — zawierają cenne wskazówki. Wszystkie te publikacje i książki zasługują na uwagę osób interesujących się ważnem zagadnieniem pokoju powszechnego.

Ale wracajmy do rzeczy.

Przypuśćmy, że rządy i ludy nareszcie uznały potrzebę usunięcia wojny. Postąpmy, jak matematycy, gdy mają do przewyciężenia jakąś trudność i wy-

obrażmy sobie na chwilę, że zagadnienie zostało już rozwiązane.

Otóż przedewszystkiem trybunał rozjemczy stały powinien mieć skład oznaczony naprzód, w czasie kiedy jeszcze zgoda między państwami panuje niezemniezakłóconą. Nie byłoby bowiem rozsądnem ani bezpiecznem, odkładać nominację sędziów do chwili, gdy nastąpi bezpośrednia obawa wojny z właściwem jej podnieceniem i zdenerwowaniem. Mniejsza o to, czy sąd składać się będzie z jednego, trzech lub dwudziestu arbitrów, — to są rzeczy podrzędne. Jeżeli jednak rozjemcą jest osoba pojedyncza, wówczas spada na nią bardzo ciężka odpowiedzialność; mogą przytem wystąpić wątpliwości co do jej kwalifikacyi, a nawet dobrej wiary. Dziewięciu arbitrów stanowi jeszcze liczbę cokolwiek za małą, jeśli się zważy niezmiernie szeroką kompetencję, jaką posiadać musi, przynajmniej w zasadzie, rozjemca, któremu rozstrzygać przyjdzie tyle kwestyi spornych, nieraz bardzo zawyłych.

Trybunał rozjemczy został zatem wprowadzony w życie. Składa się z trzydziestu sędziów delegowanych przez rozmaite kraje po jednemu lub po dwóch, a wybranych z pomiędzy dyplomatów, filozofów, prawników, uczonych, mówców, wogóle ludzi najwybitniejszych i najbardziej nieposzlakowanych, jakimi dany naród rozporządza. Kraje mniejsze, jak: Szwajcarya, Belgia, Portugalia, Holandya, Grecya, Dania, Szwecya, Norwegia, Chili, Argentyna, Meksyk, Wenezuela, wysłały po jednym reprezentancie, podczas gdy większe mocarstwa: Anglia, Stany Zjednoczone, Włochy, Niemcy, Francya, Austria, Rosya, Hiszpania, Brazylia wydelegują po dwóch sędziów. Niewątpliwie zatem kraje mniejsze, w stosunku do liczby ludności, będą repre-

zentowane liczniej, aniżeli większe; jest to jednak gwarancya bezstronności.

To zgromadzenie, złożone z trzydziestu członków i zasiadające w Genewie np. lub w Hadze, stanowić będzie trybunał powołany do rozstrzygania sporów; wszystkie zaś narody z góry przyrzekną uznawać decyzję tego najwyższego trybunału za obowiązującą dla siebie.

Ażeby sędziowie ci mogli być absolutnie od nikogo niezawisli — mianowani będą dożywotnio. Prócz tego wynagrodzenie przez nich pobierane musi być bardzo wysokie. Przypuśćmy, że każdy z nich otrzymywać będzie sto tysięcy franków rocznie. Czy może ktoś twierdzić, że trzy miliony, które zażegnają widmo wojny, a płacone będą przez wszystkie narody razem, nie okażą się wielką oszczędnością, wobec sum, jakie kosztuje jedna wojna! Nawet gdyby przyjąć, że koszta sądu rozjemczego wyniosą w ostatecznej sumie sześć milionów, czyż można będzie ciężar ten uważać za zbyt wielki? Sześciomilionowy budżet pokoju dla wszystkich ludów! Proszę obliczyć wydatki, czynione obecnie na armie przez też same ludy, a łatwo się będzie przekonać, że jest oszczędnością zastąpić sześciomiliardowy budżet militarystyki sześciomilionowym budżetem pokoju.

Mamy zatem trzydziestu sędziów różnych narodowości, niezależnych, wybitnych, dożywotnich, bezstronnych o tyle, o ile tylko ludzie nimi być mogą. Nieprawdaz, że zdanie ich tak powinno być bliżkiem sprawiedliwości absolutnej, jak tylko zdanie ludzkie sprawiedliwem być może?

Weźmy konflikt poważny między Francją a Niemcami, np. ażeby odrazu nadać sprawie możliwie naj-

większą wagę. Jeśli pominiemy opinię dwóch przedstawicieli Francji i dwóch przedstawicieli Niemiec, którzy w danym wypadku mogą nie dawać gwarancji absolutnej bezstronności, czyż można wątpić o tem, że pozostali w liczbie 26 sędziowie wydadzą wyrok sprawiedliwy?

Jakiegokolwiek przypuścilibyśmy intrygi ze strony rządu francuskiego i rządu niemieckiego — niemożliwym jest, ażeby dziesięciu z pomiędzy sędziów, obarczonych misją decyzji w sprawie, zostało przekupionych, lub nastraszonych tak, by mogli zapomnieć o wielkości swego zadania i odpowiedzialności moralnej, ciężącej na nich. Jeżeli nie można znaleźć dwóch ludzi sprawiedliwych, uczonych, bezstronnych i lojalnych ani we Francji, ani we Włoszech, ani w Anglii, ani w Austrii, jeżeli nie można napotkać ani jednego uczciwego człowieka w Belgii, Portugalii, Szwajcaryi — więc pozostaje chyba ręce załamać i zrozpaczyć o ludzkości!

Nie, prawdziwa trudność w ustanowieniu trybunału rozjemczego nie na tem polega. Zorganizowanie wysokiej instytucji sądowniczej, bezstronnej i nieskazitelnej nie może być na seryo uważane za utopię.

Można jednakże uczynić projektowi temu dwa zarzuty dość poważne, które przytoczymy.

Naprzód, kto będzie wykonywał międzynarodowe wyroki? Gdy sędzia wydaje swą decyzję, staje się ona prawomocną, jak mówią prawnicy. Chociaż jeden ze współzawodników jest niezadowolony, nie mu to nie pomoże, bo i tak będzie zmuszony przyjąć wyrok. Żandarmi, policya, wogóle siła zbrojna, reprezentująca tutaj społeczeństwo, przymuszają go do poddania się społecznej woli. Jeżeli jednak sprawa toczy się

przed trybunałem rozjemczym, mówią nasi przeciwnicy, to skąd przyjdzie egzekutywa? W razie, gdyby jedna ze stron odmówiła przyjęcia uchwały rozjemców, czy to na własną rękę, czy za poparciem jednego lub dwóch innych mocarstw — jakimi środkami zmusić ją do posłuszeństwa? Czy zostanie utworzona armia dla przeprowadzenia w czyn postanowień kongresu, czy też całe przedsięwzięcie obróci się w śmieszność, skoro państwa zmuszone będą toczyć wojnę, aby zachować pokój? Zarzut jest poważny. Można nań jednak znaleźć odpowiedź.

Przedewszystkiem, jeżeli sąd polubowny nie byłby w stanie zapobiedz wszystkim wojnom, lecz tylko niektórym, to już i to usprawiedliwiłoby dostatecznie utworzenie tej instytucji. Nie możemy zapewnić, że najwyższy międzynarodowy trybunał rozjemczy zdoła przeszkodzić na przyszłość wszystkim wojnom. Rola jego i tak będzie dość zaszczytną, jeżeli potrafi nie dopuścić choćby tylko jednej z nich. A potem, sam fakt odrzucenia decyzji arbitrów stawilby dany kraj w świetle takiego poniżenia moralnego, że mało kto na to się odważy. Wszyscy ludzie rozumni, a prawdopodobnie i wszystkie rządy wystąpią przeciwko niemu zgodnie. Stał się wicherzycielem, wrogiem publicznym. Wszystkie narody uważać go będą za wyjątego z pod prawa. Nawet bez wojny można zmusić kraj do poddania się prawnemu wyrokowi, np. zrywając z nim stosunki handlowe i dyplomatyczne. Nie możnaby było bezkarnie narażać się na wojnę, mając tak bez najmniejszej wątpliwości, w tak olśniewająco widoczny sposób przeciwko sobie prawo i sprawiedliwość. Toć nawet przy naszych obyczajach teraźniejszych, które są niekiedy obyczajami dzikich, nikt nie śmie, tocząc

wojnę, otwarcie przyznać, iż toczy ją wbrew słuszności. Przeciwnie, zawsze ogłasza się, iż sprawiedliwość po naszej jest stronie, a często i myśli się tak samo. A czyż można będzie tak myśleć po wyroku arbitrów? Zbuntować się przeciwko wyrokowi trybunału, usunąć się z pod decyzji najwyższej międzynarodowej instytucji sądowniczej — znaczyłoby, mocą samego faktu, cynicznie oświadczyć przed narodami, iż przedsięwzięcie wojnę niesprawiedliwą i że się chce za pomocą gwałtu usunąć z pod prawa.

Sankeyą wyroków sądów rozjemczych będzie opinia publiczna. Żaden naród nie zechce wykluczyć się dobrowolnie z pod prawa; bo znaczyłoby to sparaliżować własny handel i przemysł, pozbawić się swej dobrej sławy, narazić się samemu na represalia bardzo ostre ze strony wszystkich pozostałych.

Wreszcie — i to jest punkt najważniejszy — jeżeli ludy zdecydują się na ustanowienie sądu rozjemczego, tem samem, po upływie niewielkiej stosunkowo liczby lat, skasują armie stałe. Mówi się przecież, że potężne i kosztowne armie utrzymywane są dla obrony praw poszczególnych krajów. W dniu przeto, gdy powstanie surowe prawo międzynarodowe, armie staną się niepotrzebne, zniesienie zaś armii pociągnie za sobą zniesienie wojen.

Wojna istnieje tylko dlatego, że ma swych specjalistów, ludzi, którzy ją uprawiają i z niej żyją, dla których ona jest zawodem i środkiem zdobycia kawałka chleba. Dziwne zaiste rzemiosło, polegające na niszczeniu i mordowaniu innych! W dniu, w którym ona zniknie, spełzną i wojownicze zapęły. Tak więc wszelkie dowodzenia na temat władzy, jakaby musiała

przypaść w udziale trybunałowi rozjemczemu, nie ostają się wobec tej nieuniknionej konsekwencji. Od chwili, w której prawo zacznie panować, armie stałe nie będą już miały racji bytu i najważniejsza przyczyna wojen — raczej możliwości toczenia wojen — zniknie sama przez się. Że powstawać będą jeszcze między narodami nieporozumienia i to poważne — niema wątpliwości. Uniknąć ich nie będzie można, tak samo jak nie można uniknąć procesów między jednostkami; tylko, że procesy te rozstrzygane będą kosztem tańszym, aniżeli 10 miliardów i 500 tysięcy trupów. Sądzić je będzie trybunał rozjemczy.

Jestem głęboko przekonany, że za pół wieku, za sto lat najdalej, wnuki nasze z trudem będą w stanie zrozumieć, jakim sposobem trzeba było aż tylu wysiłków, tylu polemik dla wytłomaczenia ludzkości zasady instytucji społecznej i międzynarodowej, która żadnego przewrotu nie wywołała, którą się w życie wprowadza prostym dekretem i która w pomysłach swoim tak jest elementarną, iż narzuca się wprost umysłom prostaczków.

Ta przyszłość w pokoju może być już bardzo bliską, jeśli pragnący jej nie będą ustawiali w usiłowaniach. Mimo to nie trzeba się łudzić. Pojęcie bezwzględnego prawa międzynarodowego nie zdołało jeszcze dostatecznie oswoić ze sobą nawet umysłów wyższych i powszechny trybunał rozjemczy nie może być utrwalony natychmiast, ani za rok, za dwa, ani za trzy lata. Zgoda! trzeba będzie czekać lat dwadzieścia, pół wieku, może nawet wiek cały. Ale to jeszcze nie powód, by siedzieć z założonemi rękami. Jeżeli nie możemy od dzisiaj zapewnić panowania prawu, to możemy przy-

najmniej panowanie to przygotowywać. Powinniśmy zalecać rozjemstwa częściowe, ewentualnie dowolne, naprzód pomiędzy narodami najbardziej oddalonymi, takimi, które żadnego powodu do konfliktu nie mają i nie obawiają go się. Następnie traktaty rozjemcze zawarte zostaną przez narody sąsiednie i rywalizujące ze sobą i w ten sposób pokój i prawo stopniowo usuną gwałt, ciążący nad nami obecnie. Powtarzajmy więc niezmordowanie wielkie słowa: sąd rozjemczy, które są synonimem sprawiedliwości, a ostatecznie musimy być wysłuchani. Zadawajmy się postępowaniem częściowym, jakkolwiek mógłby się nam wydawać niedostatecznym; stańmy się apostołami sądów jednorazowych, w wypadkach poszczególnych, gdyż poprzedzają one tylko trybunał powszechny i ogólny.

Nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi, jak to czynią niektórzy przyjaciele nasi, teoretycy rozjemstwa, do tego lub owego systemu organizacyi trybunału. Typ, któryśmy tutaj przedstawili, jest jednym z licznych typów, jakie już próbowano wytworzyć. Jakakolwiek byłaby organizacya, zawsze przyjęcie jej będzie korzystniejsze od tego, co jest obecnie. Rzeczą zasadniczą jest tylko, żeby ludy zrozumiały, iż tam jest wybawienie i żeby rządy dostrzegły w idei międzynarodowego sądu źródło najzdrowszej i najszerzej popularności.

Jedno niemożliwe jest do przypuszczenia — ażeby to zwycięstwo nad dzikością miało być utopią. Równałoby się to zrozpaczeniu o rozumie ludzkim.

Rozjemstwo nie jest niemożliwością, ponieważ istnieje i dało dowody swej racji bytu. To nie złudzenie, nie widmo. To rzeczywistość. Przeszło dwieście

sądów polubownych już się odbyło i tyleż razy zapobieżono wojnom. Nie idzie więc tutaj o stworzenie czegoś zupełnie nowego, lecz o uogólnienie praktyki już dość rozpowszechnionej, a daleko prostszej, niżby się zdawało. Rozwiniemy ten przedmiot w następującym rozdziale.



## VI.

### Międzynarodowe sądy rozjemcze.

Dowiedziemy na podstawie faktów, że międzynarodowy sąd rozjemczy nie jest utopią, że istnieje, że jest łatwy do zorganizowania, że może zapobiedz wojnie, że zapobiegał jej już niejednokrotnie i że uogólnienie go nie wywróci podstaw społeczeństwa ludzkiego.

Nie byłoby więcej wojen, gdyby nie było armii. Oto wszystko. Wobec tego podwójnego dobrodziejstwa, maleją wszelkie inne postępy cywilizacji.

Nie będę przytaczał długiej listy traktatów rozjemczych; wystarczy mi wymienić główniejsze pomiędzy tymi, które zawarto od roku 1838.

1) 1839. — Sąd polubowny między Francją a Meksykiem. Rozjemcą była królowa Anglii. Chodziło o okrety wojenne po wzięciu portu Saint-Jean d'Ulloa.

2) 1842. — Sąd polubowny między Francją a Anglią. Arbitrem był król pruski. Spór o odszkodowanie dla poddanych brytańskich na skutek blokady Portendick w Senegalu.

3) 1845. — Sąd polubowny między Sardynią a Austrią. Rozjemca: Cesarz Rosyjski. Spór o cła solne.

4) 1851. — Sąd polubowny między Francją a Hiszpanią. Rozjemca: król holenderski. Sprawa o konfiskatę okrętów hiszpańskich i francuskich po wojnie roku 1824.

5) 1851. — Sąd polubowny pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Portugalią. Arbiter: Napoleon III. Sprawa o pojmanie statku amerykańskiego.

6) 1853. — Sąd polubowny między Stanami Zjednoczonymi a Anglią. Rozjemcy: komisya, złożona z prawników obu krajów. Zatarg o korsarstwo.

7) 1858. — Sąd polubowny między Stanami Zjednoczonymi a Chili. Rozjemca: król Belgów. Zatarg o rozbójnictwo morskie.

8) 1859. — Sąd polubowny między Stanami Zjednoczonymi a Paragwajem. Rozjemcy: komisya, złożona z prawników obu krajów. Sprawa o odszkodowanie za pogróżki wojenne.

9) 1862. — Sąd polubowny między Anglią a Brazylią. Rozjemca: król Belgów. Sprawa o obrażę, wyrządzoną marynarzom angielskim.

10) 1862. — Sąd polubowny między Stanami Zjednoczonymi a Peruwią. Rozjemca król Belgów. O rozbójnictwo morskie.

11) 1864. — Sąd polubowny między Anglią a Peru. Rozjemca: senat hamburski. Sprawa o uwięzienie oficera angielskiego.

12) 1869. — Sąd polubowny między Anglią a Portugalią. Arbiter: prezydent Stanów Zjednoczonych. Kwestya posiadania wyspy Bulama na wybrzeżu zachodniem Afryki.

13) 1872. — Sąd polubowny między Anglią a Stanami Zjednoczonymi. Arbiter: cesarz Niemiec. Zatarg o terytorya sporne.

14) 1872. — Sąd polubowny między Anglią a Portugalią. Arbiter: marszałek Mac Mahon, prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej. Kwestya własności terytoryów nad zatoką Delagoa.

15) 1873. — Sąd polubowny między Japonią a Peru. Arbiter: Cesarz Rosyjski. Sprawa: obraza obywatela peruwiańskiego.

16) 1874. — Sąd polubowny między Francją a Nikaragwą. Rozjemca: Izba kasacyjna francuska. Odszkodowanie dla kapitana okrętu angielskiego.

17) 1875. — Sąd polubowny między Chinami a Japonią. Rozjemca: pełnomocnik wielkobrajański. Odszkodowanie dla poddanego japońskiego.

18) 1875. — Sąd polubowny między Chili a Peru. Rozjemca: poseł Stanów Zjednoczonych w Valparaiso. Przedmiot sporu: uregulowanie kontrybucyi wojennej.

19) 1880. — Sąd polubowny między Wielką Brytanią a Nikaragwą. Rozjemca: cesarz austriacki. Spór o przeprowadzenie linii granicznej.

20) 1882. — Sąd polubowny między Francją a Chili. Rozjemcy: komisarze wyznaczeni przez strony i Brazylię. Przedmiot: odszkodowanie dla obywateli francuskich.

21) 1882. — Sąd polubowny między Niderlandami a republiką San Domingo. Rozjemca: prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej. O rozbójnictwo morskie.

22) 1885. — Sąd polubowny między Niemcami a Hiszpanią. Rozjemca: Papież Leon XIII. Przedmiot: obraza flagi niemieckiej i pretensye terytoryalne.

23) 1887. — Sąd polubowny między Włochami a Kolumbią. Arbiter: poseł hiszpański. Rozgraniczenie terytoryum.

24) 1887. — Sąd polubowny między Kolumbią a Wenezuela. Arbitr: poseł hiszpański. Zniewaga obywatela.

25) 1888. — Sąd polubowny między republikami Nikaragwa i Kostaryka. Arbitr: prezydent Stanów Zjednoczonych. Rozgraniczenie terytoryów.

26) 1888. — Sąd między Peru a Boliwią. Arbitr: poseł hiszpański. Rozgraniczenie terytoryów.

27) 1888. — Sąd polubowny między Peru i Equadorem. Rozjemca: królowa hiszpańska. Rozgraniczenie terytoryów.

28) 1888. — Sąd polubowny między Niemcami a Anglią. Rozjemca: rząd belgijski. Pretensya, dotycząca terytoryów i sfery wpływów.

29) 1889. — Sąd polubowny między Francją a Holandją. Rozjemca: Cesarz Rosyjski. Sprawa rozgraniczenia terytoryów.

30) 1889. — Sąd polubowny między Danią a Stanami Zjednoczonymi. Rozjemca: poseł angielski w Atenach. Zniewaga statku amerykańskiego.

31) 1890. — Sąd polubowny między Anglią a Francją. Rozjemcy: komisya, złożona z siedmiu członków, z których trzech mianowani za wspólną zgodą obu stron spornych. Sprawy, dotyczące połowu homarów u brzegów neufunlandzkich.

32) 1891. — Sąd polubowny między Anglią a Stanami Zjednoczonymi. Arbitrowie: komisya rozjemcza, złożona z siedmiu członków, z których jednego mianuje Francją, jednego Rosyja, jednego Szwecyja, dwóch Stany Zjednoczone i dwóch Anglia. Połów fok w morzu Berynga.

33) 1895. — Sąd polubowny między Wenezuela a Wielką Brytanią. Rozjemcy: sąd, złożony z dwóch

Anglików i dwóch urzędników Stanów Zjednoczonych. Rozgraniczenie terytoryów.

34) 1896. — Sąd polubowny między Francją a Brazylią. Arbitr: prezydent związku Szwajcarskiego. Rozgraniczenie terytoryów.

35) 1897. — Sąd polubowny między Kostaryką a Kolumbią. Arbitr: prezydent rzeczypospolitej Francuskiej. Rozgraniczenie terytoryów.

36) 1897. — Sąd polubowny między Haiti a San Domingo. Rozjemca: Papież Leon XIII. Rozgraniczenie terytoryów.

Opuściliśmy w liście tej najważniejszą z dotychczasowych spraw rozjemczych, która niejako zainaugurowała wielkie sądownictwo międzynarodowe, a znana jest pod nazwą sprawy: „Alabamy“.

Przypomnimy w kilku słowach tę historję. Jest ona niezwykle pouczająca, gdyż dowodzi nieporównaną wymową faktów lepiej niż wszelkie rozprawy, że prawo jest zdolne zastąpić siłę.

Podczas wojny secesyjnej pomiędzy Stanami Południowymi a Północnymi Ameryki, południowcy uzbrowili w Anglii oraz zaopatrzyli w amunicję i odpowiednią załogę wojskową kilka statków korsarskich, dla chwytania okrętów handlowych Unii Północnej. Statki te nosiły nazwy: „Georgia, Florida, Shendanoah“, najślawniejszym jednak był okręt „Alabama“. Korsarz ten wyrządził olbrzymie szkody, zatopił lub pojmał przeszło sześćdziesiąt statków marynarki handlowej Stanów Północnych.

Po ukończeniu wojny, Stany Zjednoczone zwróciły się do Anglii z pretensyami. (1865). Toczyły się długie i pracowite układy; z początku obie strony odrzuciły myśl sądu rozjemczego, nie ulega bowiem wątpliwości,

że złożyć sprawę w ręce arbitra znaczy tyle, co podać pretensye swoje prawie nieuniknionej redukcji, znaczy przyznać i zgodzić się z góry na to, że satysfakcyi pełnej i całkowitej nie otrzyma się. Kiedy się jest głęboko przekonanym o słuszności swych żądań, przykro i nie tak łatwo jest pogodzić się z myślą, że żądania te w części będą odrzucone. To też z początku ani Anglia ani Ameryka nie chciały słyszeć o sądzie rozjemczym.

Tymczasem wybuchła wojna niemiecko-francuska w roku 1870—1871. Hekatomby tej walki strasznej niewątpliwie wywarły głębokie wrażenie na wszystkie umysły. Myśl, że okropności te mogłyby się powtórzyć w starciu między Wielką Brytanią a Ameryką, skłoniła wreszcie członków obu rządów i parlamentów do powierzenia sporu arbitrom. Wice-prezydent Stanów Zjednoczonych powiedział w senacie: „Gdyby nawet jednego dolara nie miał nam zapewnić sąd rozjemczy, to jeszcze powstałbym przed współobywatelami moimi i zawołał: Przyjmijcie, jakakolwiekby ona była, rezolucyę rozjemców; wyrzeczcie się raczej wszelkiego wynagrodzenia, ale nie cofajcie się ani o krok z tego wysokiego stanowiska moralnego, jakie zajęliście wraz z Anglią wobec innych narodów świata“.

Trybunał składał się z pięciu członków, mianowanych przez prezydenta Unii, królowę angielską, króla włoskiego, prezydenta związku helweckiego i cesarza Brazylii.

Trybunał uznał się kompetentnym we wszystkich punktach, jakie mu przedstawione zostały; ponieważ jednak reklamacye Stanów Zjednoczonych sięgały kolosalnej sumy, przeto opinia publiczna angielska była bardzo silnie wzburzona. Przez kilka tygodni zda-

wało się, że ani rząd, ani naród angielski nie zgodzą się na takie postawienie kwestyi.

Poddały się jednakże, zrozumiawszy, jak powiedział gdzieś Fryderyk Passy, że kontrybucya pokoju, choćby bardzo ciężka, zawsze jest lżejsza od najmniejszej kontrybucyi wojennej.

Suma, którą Anglia musiała wówczas wypłacić Stanom, dochodziła do 80-ciu milionów franków.

Sąd rozjemczy z powodu „Alabamy“ stanowi epokę w historii prawa międzynarodowego, nie tylko wskutek doniosłości samego sporu, ale także dlatego, że z jednej i drugiej strony namiętności były bardzo podniecone, a jednakże zdołały pohamować się wobec wyroku. Zachodziła obawa wojny. Widoczna bezstronność trybunału rozjemczego zapobiegła jej. Czemu by tak nie miało być w przyszłości?

Przeglądając dokładny spis sądów rozjemczych, przekonujemy się łatwo, że sposób ten wymiaru sprawiedliwości wchodzi coraz częściej w użycie. Dowodzi to, iż wbrew zapalczywym deklamacyom pseudo-patriotów, idea sprawiedliwości międzynarodowej rozpowszechnia się coraz bardziej nawet w sferach rządzących i dyplomatycznych, niejednokrotnie tak opornych względem pojęć nowożytnego prawa międzynarodowego.

Oto krótki wykaz:

Od r. 1794 do r. 1848, 9 sądów polub., czyli rocznie proc. 0,2.

Od r. 1848 do r. 1870, 15 sądów polub., czyli rocznie proc. 0,7.

Od r. 1870 do r. 1880, 14 sądów polub., czyli rocznie proc. 1,40.

Od r. 1880 do r. 1891, 20 sądów polub., czyli rocznie proc. 1,80.

Od r. 1892 do r. 1898, 16 sądów polub., czyli rocznie proc. 4,20.

Statystyka ta, aczkolwiek nie doskonała, obejmuje bowiem elementy dość różnorodne, jest w swej całości bardzo wymowna i dowodzi, że praktyka sądu rozjemczego ustawicznie czyni postępy. Rezultaty są mierne wobec tego, o czym marzymy, ale poważne są, jeżeli zechcemy porównać je z tem, co było dawniej.

Każdy układ polubowny musi zasadniczo zawierać trzy następujące punkty:

1. Wszelkie poróżnienie, którego nie będzie można usunąć w drodze przyjacielskiej ugody, będzie oddane pod rozstrzygnięcie sądu.

2. Strony pertraktujące zobowiązują się poddać wszelkim postanowieniom arbitra.

3. Statut i skład trybunału określony jest w traktacie rozjemczym, zawartym przed wybuchem nieporozumienia. Jeżeli się pomyśli, że wszelkie odwołanie się do sprawiedliwego sądu zapewnia tryumf słuszności i prawo, to trudno doprawdy zrozumieć, czemu jakikolwiek naród choćby najdumniejszy może nie chcieć poddać się tej instytucji. Niechaj wyznaczy arbitrów, których bezstronność jest mu znana, a nie będzie potrzebował obawiać się żadnej krzywdy.

Odrzucić sąd rozjemczy, znaczy prawie tyle, co z góry przyznać się, że w słuszność sprawy swojej nie wierzymy i ogłosić otwarcie, że mamy nadzieję bezkarne popełnić jakieś nadużycie.

W gruncie rzeczy ta właśnie myśl ukryta, zła, powoduje narodami, które nie życzą sobie rozjemstwa. Częstokroć przytem zdają się one nie rozumieć, że ta-

kie egoistyczne postępowanie, wstrętne jeżeli są silniejsze, staje się poprostu idiotycznym, jeżeli są słabsze. Otóż zawsze jest możliwe, że w danym momencie będzie się słabszym. Który naród może być pewien, iż armie jego zawsze będą liczniejsze, lepiej dowodzone, zaopatrzone w nowszą broń, wodzów utalentowanych i żołnierzy walecznych? Kto jest zagwarantowany przeciwko koalicji? Zważywszy wszystko, nawet wtedy, gdy się jest dobrze uzbrojonym, roztropniej jest polegać na wyroku sądowym, niż ryzykować niepewny rezultat bitwy. Bez wątpienia, skoro raz wybierze się drogę prawa, tem samem wiąże się sobie ręce do gwałtu. Tak! to prawda! Jest się uzbrojonym do czynienia złego. Ależ dlaczegożby nie? Jakież znowu wiarołomstwo przemyślicie? Czy demokracje europejskie chcą kontynuować tradycje monarchiczne i na nowo rozpocząć wojny napastnicze, ryzykując, że z kolei same zostaną zagarnięte przez wroga? Czy wolą podbijać inne narody, czy też być pewnemi, że same pozostaną wolne na swych terytoriach wolnych. Cóż z tego, że nie będziecie mogli najeżdzać sąsiadów, jeżeli z drugiej strony i wy nie będziecie potrzebowali obawiać się ich napadu?

Wszystko to jest tak jasne, że powoli zaczyna przynikać do umysłów: parlamenty i rządy zaczynają już odczuwać nacisk opinii publicznej, opinia publiczna zaczyna się poruszać, a parlamenty wszystkich krajów zroszczyły już konieczność pokoju.

## VII.

### Instytucje pokojowe.

Pamiętnym faktem w dziejach prawa międzynarodowego jest zorganizowanie Konferencji międzyparlamentarnych, które zawdzięczamy szlachetnej i płodnej inicjatywie pp. Marcoartu, Frédéric Passy, Randal Creme, Jules Simon.

Pierwsze zgromadzenie odbyło się w Paryżu 29 i 30-go czerwca 1889 roku pod przewodnictwem p. Jules Simon. Obecni byli przedstawiciele wszystkich wielkich narodów, członkowie parlamentów angielskiego, hiszpańskiego, belgijskiego, niemieckiego, francuskiego, włoskiego, duńskiego, greckiego, węgierskiego i amerykańskiego. Postęp znaczny dla idei rozjemstwa, jeśli się zważy, że wszyscy uczestniczący w tej konferencji mieli udział w rządach swoich krajów. Nie był to już kongres pokoju, złożony z ludzi nie posiadających żadnego mandatu, oddanych całą duszą sprawie, ale pozbawionych wszelkiej władzy. Tym razem przyjaciele pokoju byli czemś więcej, niż zwykłymi obywatelami lub utopijnymi filozofami. Byli to ludzie rządzący, którzy przez sam fakt przystapie-

nia do programu powszechnego pokoju i sądownictwa polubownego, milcząco przyjmowali zobowiązanie obro-ny tej szlachetnej idei w swoich parlamentach.

Od roku 1889 Konferencya międzyparlamentarna zbiera się corocznie: w 1890 w Londynie, w 1891 w Rzymie, w 1892 w Bernie, w 1894 w Hadze, w 1895 w Brukselli, w 1896 w Budapeszcie, w 1897 w Brukselli i t. d.

Dzisiaj związek międzyparlamentarny liczy blisko 1500 uczestników, samych parlamentarzystów, żeby zaś nie wykluczać Rosyi, postanowiono, iż kraje niekonstytucyjne mogą być ewentualnie reprezentowane przez tych lub owych członków wysokich instytucyi, piastujących władzę.

Zgromadzenia bywają kombinowane z międzynarodowymi kongresami pokoju, odbywają się w tem samym mieście, w kilka dni później. Jest to jakby urzędowy kongres, podczas gdy zjazd przyjaciół pokoju ma charakter bardziej prywatny. Dzieło, przedsięwzięte przy takim płodnym współpracownictwie, nie posunęło się jeszcze zbyt naprzód. Mimo to wydało już rezultat doniosłości pierwszorzędnej: stworzenie Międzynarodowego Biura pokoju.

Międzynarodowe Biuro pokoju urzęduje w Bernie pod dykcyą człowieka, którego poświęcenie dla sprawy równe jest inteligencji, p. Elie Ducommun. W skład biura tego wchodzi delegaci kilku narodów. Wszystkie zagadnienia, dotyczące konfliktów międzynarodowych, bywają tam rozstrzygane. Biuro pokoju utrzymuje stosunki z wszystkimi Towarzystwami pokoju. Kilkakrotnie już, gdy zachodziła obawa wojny, odpowiednie wezwania były wydane do interesowanych. Jest to początek, szkic wielkiego przedsię-

wzięcia. Najszlachetniejsze instytucje miały początki nie mniej skromne. Mamy prawo do wielkich nadziei, patrząc na powstawanie i rozwój takich organizacyi, zakładanych bez poparcia rządów, wbrew opinii publicznej, obojętnej lub wrogiej, podtrzymywanych tylko energią małej liczby ludzi idei \*).

Oprócz Konferencyi międzyparlamentarnej, Międzynarodowego Biura pokoju i Kongresów pokojowych, wymienić jeszcze należy Instytut prawa międzynarodowego. Instytut prawa międzynarodowego składa się z prawników, filozofów, ekonomistów, którzy, nie będąc oficjalnie mianowani przez rządy, zbierają się corocznie dla roztrząsania zagadnień z zakresu prawa międzynarodowego. Dewiza Instytutu tego jest najpiękniejszą, jaką człowiek może wybrać: *Justitia et pax*, sprawiedliwością i pokojem. Na zgromadzeniach swych uczeni ci, wszyscy oddani jednemu celowi, t. j. braterstwu ludzi w prawie, dyskutują nad wszystkim, co odnosi się do stosunków prawnych między narodami. Poruszane bywają nietylko tematy oderwane, lecz i konkretne, omawia się projekty praktyczne, uchwała rezolucye, dające się natychmiast zastosować w celu przeprowadzenia porozumienia. Jak powiedział w Kopenhadze przewodniczący sesyi z roku 1897, p. Goos — prace Instytutu mają na celu zapewnienie pokoju i zmniejszenie nieszczęść wojny. Nie ulega wątpliwości, że prawo międzynarodowe

\*) Działalność Międzynarodowego Biura pokoju jest bardzo doniosła a tymczasem w ciągu pięciu lat na poparcie tej działalności osoby prywatne -- Towarzystwa pokoju wszystkie są bardzo ubogie — dały tylko 35,000 franków. Mniej więcej tyleż kosztuje 70 wystrzałów armatnich. (*Przyp. autora*).

należy dopiero opracować. Trzeba notować przepisy ściśle. Stosunki między obywatelami jednej ojczyzny są w każdym kraju określone prawodawstwem dokładnem, szczegółowem, którego nie wolno przekraczać. Dlaczegoż to samo nie miało nastąpić w stosunkach międzynarodowych?

Wielki wysiłek naszego cudownego XIX stulecia zdaje się mieć głównie na celu ułatwienie ludziom wzajemnego zbliżenia. Koleje żelazne, telegrafy, handel, przemysł — wytworzyły pomiędzy jednostkami narodów cywilizowanych związek materialny tysiackroć ściślejszy, niż w wiekach poprzedzających.

Różne narodości połączone różnorodnymi węzłami stały się jakby jedną istotą, której wszystkie części składowe są świadome i wrażliwe. Organizm ten, nie mniej rzeczywisty od pojedynczego narodu, posiada narządy, które już zaczynają funkcjonować prawidłowo: powszechny związek pocztowy, związek telegraficzny, traktaty handlowe, konwencje pocztowe, morskie i celne, unie monetarne, miar i wag, powszechne międzynarodowe wystawy, konwencje artystyczne i literackie, zarządzenia sanitarne przeciwko epidemiom, pomoc dla rannych — wszystko instytucje, które pod wieloma względami znajdują się jeszcze w stanie zarodkowym, lecz które rozwijają się szybko.

Instytut prawa międzynarodowego jest jednym z najważniejszych aparatów tej unii wszechludzkiej; dąży on, ni mniej, ni więcej, tylko do zaprowadzenia między narodami, które dotychczas nierozsądnie zamykają się od reszty świata w obrębie zazdrośnie strzeżonych granic, stosunku prawnego, legalnego, zgodnego z warunkami przyrodzonymi.

Konferencje zaś i kongresy pokojowe mają na celu przypominanie ludziom, że idea sprawiedliwości powinna stać ponad wszystkim i że cudzoziemiec, zarówno jak współobywatel, ma prawo niczem nie ograniczone do naszej sprawiedliwości pełnej i całkowitej. Żle służy ojczyźnie, złym jest obywatelem ten, kto uważa, że nie istnieje obowiązek pilny i nigdy nie przedawniony uszanowania praw innych ludzi, bez względu na to, czy są synami naszej ojczyzny, czy innej.



## VIII.

### Cesarz i papież.

W ciągu roku 1898 dwa ważne wypadki inny zupełnie kierunek nadały myśli europejskiej, o ile dotyczy ona kwestyi pokoju i wojny.

Pierwszym z nich była wojna hiszpańsko-amerykańska.

Zasmuciła ona bardzo wszystkich przyjaciół pokoju. Zapanowało między nami ogólne pomieszenie, gdyśmy ujrzeli, jak szlachetny naród amerykański, dotychczas zawsze hołdujący prawu i sprawiedliwości, naród, którego rząd tylokrotnie okazał wyraźną skłonność do pokojowego i prawnego rozstrzygnięcia międzynarodowych sporów, jak naród ten przedsięwzięcie wojnę uderzająco niesłuszną; to też niedalecy już byliśmy od rozpaczki, kiedy nieoczekiwany wypadek dodał nam znowu otuchy.

Cesarz Rosyjski stanowczo oświadczył się po stronie zwolenników pokoju. Dnia 1-go sierpnia 1898 roku hr. Murawjew, minister spraw zagranicznych cesarstwa Rosyjskiego, doręczył na rozkaz Cesarza wszystkim akredytowanym w Petersburgu przedstawicielom

państw okólnik w sprawie rozbrojenia i powszechnego pokoju. Oto jest tekst okólnika:

„Zachowanie pokoju powszechnego i możliwe powstrzymanie ciężających na wszystkich narodach nadzwyczajnych uzbrojeń, jest w dzisiejszym stanie rzeczy celem, do którego zmierzać powinny starania wszystkich rządów. Wzgląd ten odpowiada w zupełności humanitarnym i wspańalomysłnym zamiarom Jego Cesarskiej Mości, mego Najjaśniejszego Pana. W przekonaniu, że tak wzniosły cel odpowiada istotnym potrzebom i życzeniom wszystkich mocarstw, rząd Cesarski sądzi, że chwila obecna nadaje się bardzo do wyszukania w drodze międzynarodowych obrad najskuteczniejszych środków dla zabezpieczenia wszystkim ludom prawdziwego i trwałego pokoju i przede wszystkim dla położenia tamy zwiększającemu się coraz bardziej wzrostowi współczesnych uzbrojeń. W ciągu ostatnich 20 lat pokojowe dążności rozwinęły się bardzo w poczuciu ludów oświeconych. Zachowanie pokoju stało się celem polityki międzynarodowej, w imię pokoju wielkie mocarstwa związały się w potężne przymerza, dla lepszego zabezpieczenia pokoju zwiększyły one do niebywałych dotąd rozmiarów swoje siły wojenne i zwiększają je dotąd, nie cofając się przed żadnymi ofiarami. Usiłowania te nie mogły jednak doprowadzić dotąd do pomyślnych rezultatów pożądanego pokoju. Wzrastające ciągle brzemię ciężarów finansowych podkopuje dobrobyt społeczny; umysłowe i fizyczne siły narodów, praca i kapitał, oderwane w większej części od właściwego przeznaczenia, marnują się nieprodukcyjnie; setki milionów wydaje się na przygotowania strasznych środków zniszczenia, które dziś są ostatnim wyrazem nauki, a jutro utracić mu-

szą wszelką wartość skutkiem nowych wynalazków. Oświata ludu, jego dobrobyt i bogactwa tamują się, lub sprowadzane bywają na manowce.

„W ten sposób w miarę tego, jak wzrastają uzbrojenia każdego z państw, coraz mniej odpowiadają one wytkniętym przez rządy zamiarom. Naruszenie ustroju ekonomicznego, wywołane w wielkim stopniu przez nadzwyczajne uzbrojenia, wieczna obawa, która objawia się w olbrzymim nagromadzeniu wojennych środków, zamieniają zbrojny pokój doby obecnej w przyniatające brzemie, które narody znoszą z wielkim trudem. Jasną wobec tego jest rzeczą, że gdyby stan podobny przedłużył się, w zgubny sposób doprowadziłby do tego właśnie nieszczęścia, którego stara się uniknąć i przed którego grozą wzdryga się już teraz myśl ludzka. Położyć tamę nieustającym uzbrojeniom i znaleźć środki, mogące zapobiedz zagrażającemu światu całemu nieszczęściu, oto dziś najwyższe zadanie wszystkich państw. Przejęty tem uczuciem, Najjaśniejszy Pan raczył mi pozwolić, ażebym się zwrócił do wszystkich mocarstw, których przedstawiciele akredytowani są przy Najwyższym Dworze, z propozycją zwołania konferencji, w celu rozpatrzenia tego ważnego zadania. Przy Bożej pomocy, konferencya ta mogłaby być dobrą wróżbą dla zbliżającego się stulecia; złączyłaby ona w jedną potężną całość usiłowania wszystkich państw, dążących szczerze do tego, ażeby wielka idea pokoju powszechnego tryumfowała nad dziedziną kłótni i niezgody a równocześnie wzmocniłaby ich jedność, przez uznanie podstaw prawa i sprawiedliwości, na których spoczywa bezpieczeństwo państw i pomyślność narodów“.

Tak więc przed oczyma naszymi dokonał się fakt  
Wojny i pokój.

nadzwyczajny. Jeden z najpotężniejszych monarchów świata, Cesarz, którego nieograniczonej władzy podlega 130 milionów ludzi, przyznaje, że wojna jest klęską, a pokój zbrojny ciężarem, gniotącym nadmiernie narody. Oświadczam, że trzeba zapewnić tryumf wielkiej idei pokoju powszechnego. Powtarza myśli, które filozofowie, myśliciele, uczeni i poeci od dwóchset lat głosili jak na puszcy, a Jego słowo Monarsze przychodzi w pomoc naszej „utopii“.

Jednakże trzeba dodać, że rozbrojenie, nawet częściowe, nie jest najlepszym rozwiązaniem kwestyi. Wprzód, niż o rozbrojeniu, pomyśleć trzeba o zapewnieniu bezpieczeństwa międzynarodowego; otóż na to jest sposób jeden: rozjemstwo — czy to w formie powszechnej instytucyi, czy też specjalnych umów rozjemczych między różnymi narodami.

Co do nas, to życzymy sobie zarówno rozbrojenia, jak rozjemstwa, tylko upowszechnienie tego ostatniego musi poprzedzić pierwsze.

Rozbrojenie czekać musi, dopóki prawodawstwo rozjemcze nie będzie ostatecznie ustalone. Niektóre rządy już są zupełnie przygotowane do tej godnej podziwu reformy.

Niedawno prezydent rzeczypospolitej Argentyńskiej, w odpowiedzi na adres Zgromadzenia Kongresu Towarzystwa pokoju w Turynie, pisał, co następuje:

„Pokojowe usposobienie kraju mego musi być znane całemu światu. Traktat niedawno z Włochami zawarty dowodzi tego najwymowniej. Sąd rozjemczy uważany jest w rzeczypospolitej Argentyńskiej za najsprawiedliwszy i najpraktyczniejszy sposób rozstrzygnięcia poróżnień międzynarodowych i w tym względzie

rząd mój zawsze zgadzać się będzie z ideami głoszonymi przez szanowny i uczony Kongres Zgromadzenia Towarzystw pokoju w Turynie“.

Po naszej stronie stanął także papież Leon XIII.

Kardynał Rampolla, kanclerz Stolicy Apostolskiej, takiej udzielił odpowiedzi generałowi Turr, przewodniczącemu VII-go Kongresu pokoju w Budapeszcie 1896 r. .:

„Hold, złożony przez VII powszechny Kongres pokoju w Budapeszcie Ojcu Świętemu, był Mu niezmiernie miły, ponieważ w tym akcie czci łatwo mógł rozpoznać publiczny wyraz szacunku dla wysokiej misyi pokojowej, piastowanej przez Głowę Kościoła.

„I rzeczywiście, najszlachetniejsze starania Namiestnika Chrystusowego, który zawsze używał władzy swojej i wpływu dla popierania cywilizacyi i zgody między narodami, skierowane były ku zapewnieniu przewagi w świecie sprawiedliwości i pokojowi, ku połączeniu wszystkich ludów jakby w jedną rodzinę węzłami chrześcijańskiego braterstwa.

„Papież Leon XIII umysł swój i serce obrócił również ku temu dziełu tak wybitnie chrześcijańskiemu i dobroczynnemu, a w przekonaniu tem utwierdzony został przez świadomość coraz głębiej przenikającą w sumienie ludzi, że podstawą, na której opierają się stosunki cywilne, jest spełnianie wszystkich obowiązków i szanowanie wszelkich praw; że prawo przemocy ustąpi przed prawem rozumu i że nowa era prawdziwej cywilizacyi ułatwi rodzinie ludzkiej spełnienie jej najwyższych przeznaczeń“.

Oto słowa pełne szlachetności i prawdziwie chrześcijańskiego ducha; nie potrzeba bowiem być głębokim znawcą Ewangelii, ażeby zrozumieć, że miłość pokoju ściśle jest zgodną z nauką Chrystusa.

Braterstwo ludzi, bez względu na ich majątek, wykształcenie, rasę, barwę skóry, jest jedną z najgłówniejszych zasad chrześcijańskich.

Szkoda, że katolicy francuscy nie zrozumieli jej jeszcze!

Idąc za przewodnictwem księży, bardziej troszczących się o popularność niż o chrystyanizm, wyobrazili sobie oni, że chrześcijaństwo powinno iść ręką w rękę z militarystką. Jak Napoleon narzucał duchowieństwu nauczanie katechizmu cesarskiego, w którym między przykazaniami Bożemi wymieniono posłuszeństwo dla cesarza i sumienne stawanie do poboru, — tak samo księża francuscy dzisiejsi zalecają nienawiść dla narodów sąsiednich, dla Niemców, Anglików czy Włochów, i głoszą krzyżowe pochody patryotyzmu! Chętnie ogłosiliby oni za heretycką szlachetną opinię Głowy Kościoła, potępiającą wojny i przemawiającą za sprawiedliwością międzynarodową a przeciw gwałtowi.

Wszyscy katolicy, wszyscy prawdziwi chrześcijanie powinni trzymać z nami.

Nie wątpimy też, że z chwilą, gdy lud prosty, roboczy, dostarczający mas żołnierza, zostanie nareszcie przez nas oświecony, wówczas i księża katolicycy francuscy zmienią zdanie i prawdopodobnie starać się będą objąć kierownictwo ruchu. W dniu tym, jeśli nie utracą już przedtem wszelkiego wpływu, może zdecydować się powtórzyć słowa najukochańszego ucznia Jezusowego, streszczające w sobie całą Ewangelię: „Dziateczki moje, kochajcie się wzajemnie“.

## IX.

### Co mają czynić wrogowie wojny? — Wielcy zwolennicy pokoju.

Reforma, choćby najpilniejsza, choćby najprostsza, nie przeprowadzi się sama. Przeszłość głębokie zapuszcza korzenie w życie społeczne i tylko twardą, ciężką walką obalić można stare bałwany. Jeżeli przestaniemy na oczekiwaniu z założonemi rękoma, stare bałwany będą dalej panowały światu z wysokości swych spróchniałych piedestałów. A zatem my wszyscy, przyjaciele pokoju, powinniśmy użyć naszej energii i woli dla zapewnienia zwycięstwa idei naszej.

Bez wątpienia, wygodniej jest odpoczywać (pomimo, iż się nic nie robiło) i pozostawić sprawy własnemu biegowi. Zapewne, wojna zniknie i samą mocą nieuniknionej ewolucji; czyż nie warto jednak przyspieszyć chwili tego wyzwolenia?

Jeżeli zechcemy, to w mocy naszej jest pół wieku, wiek, może dwa wieki wybawić od rzezi krwawych, a bezpłodnych.

Wszystko, co dotyczy życia ludzkiego, gdy nie o wojnę idzie, porusza nas do głębi, tylko wojna ma ten przywilej, że nie sprawia troski. Skąd ta dziwna obojętność wobec sprawy uchronienia od śmierci na tyfus, cholere, kule i granaty trzystu tysięcy mężczyzn?

Setki tysięcy franków ofiaruje się na opatrunek ranionych w bitwach. To pięknie, ale to nielogicznie. Lepiej jest wcale nie ranić. Gdyby mi się zapytano, co wolę: czy otrzymać szybko i troskliwą pomoc w dobrze urządzonym ambulansie, należycie obsłużonym przez doskonałych infirmerów i zręcznych chirurgów, czy też być pozbawionym ambulansu chirurgów i infirmerów, ale za to nie mieć kuli w brzuchu, niewątpliwie wybrałbym to drugie.

Wygłaszano niejednokrotnie namiętne polemiki przeciw karze śmierci. Wyznaję, że kwestya ta jest mi zupełnie obojętną. Przypuśćmy, że jakiś nędznik, mniej lub więcej chory na umyśle, popełnił morderstwo. Społeczeństwo prowadzi go na szafot. Pomimo dobrych chęci z mojej strony, nie jestem w stanie bliżej nim zainteresować się. Rocznie może się zdarzyć we Francji 4 lub 5 ofiar tej kategorii, niechaj w całej Europie będzie ich np. 100. To czyni dziesięć tysięcy w ciągu bieżącego wieku. Proszę zestawić egzekucyje te z rezultatami wojny. Pod Gravelotte o 10-tej godzinie rano leżało w polach już 20 tysięcy ludzi!

20 tysięcy odważnych i szlachetnych młodzieńców, wymordowanych w kilka godzin, obchodzi mię więcej, niż 10 tysięcy łotrów, poświęconych w ciągu wieku sprawie bezpieczeństwa publicznego. Prawdziwa kara śmierci — to wojna. Prawdziwa reforma społeczna,

to nie szpitale, schroniska, towarzystwa pomocy dla rannych, — lecz zniesienie wojny.

O to powinniśmy walczyć. Ale jak walczyć? Jak obalić bałwana?

Naprzód i przedewszystkiem przez kształcenie naszych dzieci. Trzeba je wychowywać w umiłowaniu sprawiedliwości. Gdyby Kościół katolicki był naprawdę wierny duchowi Ewangelii, nie mielibyśmy cenniejszego sprzymierzeńca; cóż, kiedy w duchowieństwie, przynajmniej francuskim, zapanowała tendencya militarizmu, pomimo że Papież tak dalekim jest od popierania czegoś podobnego, że wielu księży katolickich we Francji musi go uważać za bardzo zacofanego.

Pastorowie protestancy, zwłaszcza w Anglii, bywają niekiedy również wojowniczo usposobieni. Niedawno dziennik *Concord* cytował niezwykle kazania wysokich biskupów angielskich, głoszące wyprawę krzyżową przeciwko wrogowi narodowemu, t. j. Francuzom, i podniecające apetyty zdobywcze. Trzeba jednak dodać, że zapał tego rodzaju jest wyjątkowy; niektórzy pastorowie protestancy powzięli nawet postanowienie godne najgorętszej pochwały. Jest to tak zwany *Peace Sunday*, czyli obyczaj wypowiedania w pewną niedzielę co roku kazania o braterstwie ludów i pokoju powszechnym.

Zresztą, w braku kapłanów katolickich czy protestanckich, trzeba liczyć przedewszystkiem na siebie samych.

Nauczyciel mógłby zrobić wiele. Od niego w znacznej mierze zależą uczucia nowego pokolenia. Co jednak myśli on sam i co może myśleć? Czy nie jest także zatruty moralnie przez te dzienniki, o wielkiej liczbie czytelników a małej dozie myśli, które docho-

dzą wszędzie, pobudzając, jeśli nie do wojny, to w każdym razie do nienawiści i wzdargy dla narodów sąsiednich, Włochów, Anglików, Niemców?

Chociaż może się to wydawać nieprawdopodobnem, a przecież jest rzecz jeszcze gorsza od dzienników: to podręczniki historii w szkołach niższych. Te, które są dostępne dla dzieci, bywają przejęte duchem wręcz szkodliwym. Są one patryotyczne naodwrot, gdyż utożsamiają miłość ojczyzny ze wzdargą ojczyzn innych. Wszystkie grabieże, łotrstwa, rozboje, jakie kiedykolwiek obciążały sumienie narodu, do którego należą historyk, opowiedziane z sympatją, bez słowa nagany. Kiedy wypadaloby potępić najbardziej zbrodnicze czyny, małe te książeczki rozplywają się w uniesieniu. W dziejach Francji podziw rozpoczyna się od Juliusza Cezara, którego niecnny podbój Galii opiewany jest jako dzieło święte. W szkołach początkowych niemieckich i angielskich ten sam nastrój nienawiści panoszy się cynicznie, bezwstydnie w pełnym świetle dziennem.

Wynikiem takiego nauczania historii jest niemożność ze strony dziecka odróżnienia wojen obronnych i wojen o wyzwolenie, od zaczepnych i zdobywczych. Na jednym poziomie stawia się takie bitwy, jak Valmy, która uświęca narodową niepodległość, i Wagram, która umożliwia Napoleonowi małżeństwo z córką cesarską; jak Granson, gdzie Szwajcarzy bronią swej wolności przed barbarzyńskim awanturnikiem, i Fontenoy, która popiera ciemne intrygi zepsutego dworu.

Komuś, kto czyta elementarny podręcznik historii, może wydawać się, że najszlachetniejsza rola, o jakiej człowiek marzyć może, to stać na czele armii, której śladami idzie pożar, rabunek i śmierć. Wszyscy

zdobywcy, zwłaszcza Francuzi, wynoszeni są pod niebiosa, a zaledwie w kilku wierszach, jakby tylko z konieczności, wspomina się o dobroczyńcach prawdziwych, o uczonych, wynalazkach, myślicielach, artystach, którzy wzbogacili dziedzictwo ludzkości, miast łupić i mordować.

Ten błąd elementarnych podręczników historii, jako książek, wywierających tak przeważny wpływ na dziecięce umysły, był do tego stopnia nagły, że francuskie Towarzystwo rozjemcze uznało za niezbędne wyznaczyć 1000 franków nagrody za napisanie dostępnej dla młodszych dzieci historii Francji, w duchu prawdziwego patryotyzmu i sprawiedliwości.

Rozporządząmy jeszcze innymi środkami działania, np. książką do czytania, dziennikiem, konferencją, rozmową, a wszystkie te sposoby zyskiwania zwolenników są doskonałe. Dziennik jest może z nich najdonioślejszym, tylko że dziennikarze dzisiejsi przejęci są zupełnie innymi myślami. Obawiają się zmniejszyć liczbę prenumeratorów, szerząc nienawiść wojny.

Zaczyna się jednak budzić i wychodzić z bezczynności także prasa innego pokroju — pokojowa. We Francji i Anglii utworzyło się stowarzyszenie dziennikarzy, zwolenników pokoju. Miejmy nadzieję, że łącząc w jedną grupę rozproszone wysiłki, uda im się otrząsnąć z bezwładności masy.

Jeżeli nie każdy jest dziennikarzem, to przynajmniej każdy obywatelem i wyborcą. Otóż prawo głosowania stanowi środek, którego również nie można lekceważyć. Skoro w istocie uważamy pokój za najpilniejszą potrzebę społeczeństw nowożytnych, to dlaczego nie mielibyśmy oświadczyć tego kandydatom poselskim? Dlaczego nie mielibyśmy z kwestyi rozjemstwa

międzynarodowego uczynić podstawy naszych żądań wyborczych? Moglibyśmy za ostatnich wyborów zacytować ten lub ów okręg, gdzie wpływ jednego lub dwóch wyborców wystarczył, żeby rozmaici kandydaci do programów owych włączyli sąd rozjemczy międzynarodowy.

Ale najskuteczniejszym środkiem propagandy jest bez wątpienia przystępowanie do Towarzystw pokoju. Niestety! nie są one zbyt liczne, nie są zbyt bogate. Powiedzmy prawdę: są nawet ubogie. By mogły się rozwinąć i, co zatem idzie, osiąść jakiś wpływ, muszą przede wszystkim powiększyć liczbę członków!

Muszą mieć pieniądze!

Stowarzyszenie zwolenników rozjemstwa między narodami, Stowarzyszenie przyjaciół pokoju, Francuskie Biuro Pokoju — oto są towarzystwa paryskie; istnieje jeszcze kilka na prowincyi w Hawrze, w Guise, w Nimes, w Nicei, ale jakże niewiele, niestety! Nie będziemy ich liczyć, byłoby to zbyt przykre!

Czem powinien się odznaczać duch prawdziwie nowożytny, to tą wyraźną świadomością, że pomocy można oczekiwać tylko od siebie samego. Stare przysłowie mówi: „Pomagaj sobie, Bóg ci dopomoże“. Nie jest to bardzo ściśle i chętniej powiedziałbym: „Pomagaj sobie sam, gdyż Bóg ci nie dopomoże“.

W dniu 1-ym marca 1898 roku Stowarzyszeń Pokoju było 80 w następujący sposób rozdzielonych między poszczególne kraje:

Niemcy . . . . .	4	69 grup
Austria . . . . .	9	

Belgia . . . . .	1	
Dania . . . . .	1	93 grupy
Francya . . . . .	16	
Wielka Brytania . . . . .	12	
Węgry . . . . .	2	
Włochy . . . . .	13	
Niderlandy . . . . .	1	8 grup
Portugalia . . . . .	1	
Rosya . . . . .	1	
Szwecya . . . . .	1	78 grup
Szwajcarya . . . . .	4	23 grupy
Ameryka . . . . .	14	

Kobiety mogłyby i powinny wywierać wpływ w kierunku szerzenia idei pokoju. Co prawda, wiele między niemi jest namiętnych zwolenniczek militarizmu, dzięki zapewne piękności mundurów, i te starają się dzieciom swoim wszczepić instynkty wojownicze. Chętnie tłumaczą im, że cudzoziemiec to wróg i wychowują je w mniemaniu, iż miłość ojczyzny jest identyczna z zawodem wojskowym. Dla pań tych, im więcej kto krwi wylał, tem jest większy. Często spotyka się, zwłaszcza wśród burżuazyi, kobiety przeniknięte tym dziwnym przesądem. Należy im wybaczyć tę płaską komedię. One nie wiedzą, że kobiety niemieckie, włoskie, angielskie, posiadają, równie jak one, mężów, ojców i braci, równie godnych miłości. Trzeba im zresztą oddać tę sprawiedliwość, że ich pojęcia o obowiązkach wojskowych sprowadzają się prawie wyłącznie do kwestyi piękności i imponującego wyglądu dolmanu, kołpaka i t. d.

Szczerkiem, pewna liczba kobiet oświeconych i szlachetnych zdobyła się na odwagę stawienia oporu

powszechnemu szaleństwu. Pozakładały one towarzystwa pokoju i zyskały tysiące członków.

Czego nie zechcą może uczynić matki, powinni spełnić nauczyciele, zarówno w szkołach średnich jak wyższych. Wielu z nich myśli podobnie, jak my. Dlaczego nie mieliby się zdobyć na tę niewielką odwagę, by wypowiedać głośno swoje przekonanie? Dlaczego nie mieliby się starać, by uczniowie ich te przekonania podzielili? Działanie słowa mistrza bywa często szczególnie skuteczne. Ziarno rzucone w powietrze niejednokrotnie spadnie na grunt przyjazny i może zakiełkować. Kto wie, co za następstwa może wywołać w podatnej duszy dziecka słowo oburzenia lub sarkazmu przeciwko okrucieństwu wojny?

Należałoby się też starać bliżej zapoznawać młodych ludzi z narodami sąsiednimi. Jeżeli powstaje w nas nienawiść przeciwko nim, to najczęściej tylko dlatego, że ich nie znamy. Gdyby mi wolno było samego siebie dać za przykład, to powiedziałbym, że jak każdy inny miałem od dzieciństwa przesady przeciwko Anglikom, Niemcom, Włochom; potem w miarę posuwania się w wieku, spostrzegalem, że przesady moje były głupie, że nieprzychylna moja opinia o tych Włochach, Anglikach, Niemcach opierała się na bzdurstwach, na bajkach niańczyńskich. Miałem sposobność mieszkać w Anglii, we Włoszech, w Niemczech i moge zapewnić, że w krajach tych żyją ludzie tak samo jak my obdarzeni uczuciami szczerości, sprawiedliwości i honoru.

Otóż, gdyby dzieci nasze w czternastym, piętnastym, szesnastym roku życia mogły przez kilka miesięcy mieszkać za granicą, bardzo szybko pozbyłyby się nierozsądnych uprzedzeń, zaszczipionych im w dzie-

ciństwie. Nie jest to nawet tak trudne, jakby się здаwało. Łatwo znaleźć można uczciwą rodzinę, włoską, angielską, niemiecką, w której młody nasz syn mógłby spędzić 6 miesięcy; koszta zaś byłyby minimalne, gdybyśmy zgodzili się wzajemnie przyjąć do siebie młodziątka w tym samym wieku, z rodziny cudzoziemskiej.

Takie wymiany dzieci są pełne prostoty i dają olbrzymie korzyści.

Przedewszystkiem dziecko nauczy się bez wysiłku obcego języka, bardzo być może nawet, że jedynie tylko tym sposobem nauczyć się go będzie mogło. Tą drogą usunie się mnóstwo błędnych mniemań, opartych wyłącznie na ignorancyi, a my Francuzi skorzystamy na tem także z naszej strony, gdyż obcy, poznawszy nas bliżej, przestaną również nami gardzić i nienawidzić nas.

Niedoceniając się wzajemnie i niechęć narodów sąsiadujących są poprostu śmieszne; przebywając za granicą spostrzeżać się prędko, że poczciwi i dzielni ludzie są wszędzie i że wszędzie stanowią większość; że my nie mamy przywileju ani na honor, ani na cnotę, odwagę, rozsadek, gdyż wszystkie te zalety posiadają w równym stopniu narody ościenne. W takiej zaprzyjaźnionej rodzinie dziecko cudzoziemskie znajdzie otoczenie równie uczciwe i godne szacunku jak w swej własnej i niedługo przekona się, że różnice językowe i obyczajowe nie stanowią zapory nieprzebytej między ludźmi, stworzonymi na to, by się wzajemnie rozumieć i kochać, nie zaś ignorować i nienawidzić.

Wielbimy wielkich zdobywców, dlaczego jednak przemilczamy lub traktujemy pobieżnie życie i szlachetne wysiłki tych, którzy poświęcili się sprawie pokoju?



Wielkie czyny Aleksandra, Hannibala, Maryusza, Juliusza Cezara, Attyli, Fryderyka II, Gustawa Adolfa, Karola XII, Napoleona dostarczają obfitego materiału historykom i nawet moralistom. Czemu nie mówią ani o tych, którzy, zamiast kierować rzeźniami ludzi, piętnowali je i brzydzili się niemi?

Prawdę powiedziawszy, równałoby się to streszczeniu dziejów myśli ludzkiej w ich całości, gdyż filozofowie wszyscy zawsze zapatrywali się na wojnę jako na zło: Cycero, Seneka, nawet cesarz Marek Aureliusz uznali ją za niegodziwą i bezsensowną. Myśliciele od Pascala i Leibniza począwszy, a kończąc na Kancie, Tolstoju i ojcu Gratry, nie przestawali głosić, iż wojna jest niegodziwością i absurdem. Pisarze satyryczni i poeci od La Bruyère'a i Voltaire'a do Henryka Heine'go, Wiktora Hugo i Lamartine'a tak samo przedstawiali ją zawsze. Po jej stronie zaś, znajdując ją piękną, sprawiedliwą i rozumną, stanęli tylko Józef de Maistre, Hegel, v. Moltke i p. de Vogüé\*).

Od początku czasów, świat jest jakby rozdzierany przez dwa przeciwne sobie i wrogie pierwiastki: dobro i zło, Ormuzda i Arymana. Z jednej strony pierwiastek światła, braterstwa, pokoju, cywilizacyi; reprezentuje go nauka i Ewangelia. Z drugiej strony pierwiastek wojny, nienawiści, krwi, reprezentowany przez despotów i zdobywców. Z jednej strony Attylla, z dru-

\*) Nieco dalej znajdzie czytelnik kilka wyjątków, wykazujących dowodnie, z jaką siłą występowano przeciwko wojnie. Nie chcemy osłabiać wzniosłej i zdrowej wymowy mistrzów, kalesząc ją przeróbkami. Nauczyciel będzie mógł stamtąd zebrać wzory tego, co trzeba wykladać i tłumaczyć dzieciom.

giej — Leibnitz. Papież Leon XIII jest po stronie Leibniza, ale p. de Vogüé należy do stronnictwa Attyli.

Ewolucya idei pokoju i rozjemstwa w ciągu wieków zasługiwałaby na historyczne opracowanie, co jest niemożliwe dla nas na tem miejscu; postaramy się jednak dać choćby kilka nazwisk najwybitniejszych lub nowszych. Na pierwszym miejscu wymienić przyjdzie wielkiego filozofa Leibniza i wielkiego chrześcijanina Fénelon'a-Fénelon'a, który odważył się powiedzieć w oczu Ludwikowi XIV, że wojna jest srogą plagą narodów, Fénelona, który w swoim Telemaku proponuje założenie trybunału dla sądzenia sporów między narodami i zapobieżenia tym sposobem rzeziom wojennym.

Po Fénelonie następuje ks. de Saint Pierre (1713), który podał projekt zabezpieczenia wiecznego pokoju za pomocą instytucyi analogicznych do tych, które w łonie każdego społeczeństwa strzegą życia i własności obywateli.

W końcu XVIII stulecia Kant, filozof równy geniuszem Leibnitzowi, sformułował także projekt wiecznego pokoju. Próby te zostały wzgardzone przez polityków, nieznanne są tłumom i wysmiane przez filozofów.

Mężom stanu angielskim: Henrykowi Richard, John'owi Bright i Ryszardowi Cobdenowi przyznać należy zasługę wprowadzenia po raz pierwszy filozoficznej koncepcyi rozjemstwa w życie realne. Potrafili oni poruszyć opinię publiczną, którą poruszyć tak trudno, stworzyli koło siebie wielki ruch pokojowy, który rozszerzył się daleko poza granice państwa Wielk Brytańskiego i który powoli pozyskał sobie cały świat.

Charles Lemonnier, Jules Simon i Charles Renouard, dziad piszącego te słowa, byli apostołami wielkiej idei we Francyi, Bonghi i Sclopis we Włoszech, Laveleye w Belgii. Dzisiaj sprawa rozjemstwa posiada potężnych i wymownych obrońców w każdym kraju. Ograniczając się tylko do najznacześniejszych, przytoczę nazwiska: Frédéric Passy we Francyi, Hodgson Pratt i W. Stead w Anglii, Elie Ducommun w Szwajcaryi, Moneta we Włoszech, pani v. Suttner w Niemczech, v. Bajer w Danii, Decamps i Lafontaine w Belgii, Magalhaës Lima w Portugalii, Marcoartu i szlachetny Emilio Castelar w Hiszpanii.

Do zwolenników pokoju należał również zmarły niedawno wielki Alfred Nobel. Był wynalazcą straszliwych narzędzi zniszczenia: prochu bezdymnego i dynamitu, a powziął jednakże myśl śmiałą przekazania części swej kolosalnej fortuny tym, którzy miast podzegać do wojny, pracują nad jej zniesieniem. W testamencie swoim mówi (1897): „Przekazuję część majątku mojego (odpowiadającego dochodowi rocznemu 200 tysięcy franków) temu, kto najwięcej lub najlepiej przyczynić się potrafi do urzeczywistnienia idei braterstwa ludów i skasowania lub zredukowania armii stałych, oraz do organizowania i rozpowszechnienia kongresów pokoju“.

Jednakże wszyscy ci dzielni ludzie, którzy bronią sprawy pokoju, mało się troszcza o nagrodę Nobla. Pieniądze mają dla nich wartość równie małą, jak łaski publiczności. Oni wiedzą dobrze, że czeka ich przede wszystkim gruboskórna obojętność mas, uśmiech sarkastyczny ludzi wyższego umysłu i obelgi garści opętanców, którzy im zarzucać będą brak miłości ojczyzny.

Ani obojętność, ani szyderstwa, ani wymysły nie wzruszą ich wszelako. Pójdą swoją drogą, głęboko przekonani, że walczą o złagodzenie najgorszych nędz ludzkich, tych, które człowiek sam sobie stwarza a które przy odrobinie inteligencji lub energii z jego strony, mogłyby nie istnieć.

## X.

### Wnioski.

Musimy się teraz postarać o wyprowadzenie wniosków z tego studyum.

Idzie, naszym zdaniem, o najpilniejsze zadanie, jakie ma prawo i obowiązek spełnić ludzkość, postępująca naprzód w cywilizacji.

Może w mniej lub więcej oddalonej przyszłości ludzie poznają formy społeczne, mniej brutalne od form współczesnych. Może prawdy, których istnienia nie podejrzewamy nawet, wyjdą na światło dzienne. Wszystko jest możliwe, bo jesteśmy jeszcze w dzieciństwie. Ale jedno jest pewnikiem: że najpierwszy krok naprzód, jaki mamy do uczynienia, to usunięcie wojny i, co za tem idzie, zniesienie militaryzmu.

Staraliśmy się wykazać, że wojna jest klęską, że pozbawia życia więcej ofiar, niż najstraszliwsza epidemia, że nawet w stanie pokoju pożera bez korzyści energię i siły żywotne narodów, że nie ma innego środka jak gwałt, innej racji bytu, niż rabunek, innego wyniku prócz nędzy, i że nie jej nie usprawiedliwia.

W początkach zawiązywania się społeczeństw, ludzie byli zmuszeni bronić się sami: nie było ani policy, któraby kielżnała zamachy, ani sądów, któreby rozstrzygały spory. Później organizacja społeczna na miejscu gwałtu postawiła prawo i jednostki otrzymały jego opiekę, pod warunkiem poddania się temu prawu.

Ustrój jednakże prawny, który zastąpił panowanie gwałtu, jeżeli istnieje już dla jednostek, nie został dotychczas zaprowadzony dla narodów. Zasady prawa międzynarodowego są zapoznawane, lub zgoła nieznane, gdyż zawsze, lub prawie zawsze, jeszcze siła jest decydującym czynnikiem w sporach międzynarodowych.

Na kilku przykładach widzieliśmy, jakie potworności pociąga za sobą to użycie siły. Napróżno usiłują naszemu stanowi społecznemu nadać piękne miano cywilizacji: jesteśmy jeszcze dzicy i pozostaniemy nimi dopóty, póki trwać będzie zasada wojny.

Jakże usunąć wojnę?

Może trudności zostały przesadzone? W dniu, kiedy narody nareszcie zrozumieją, że wojna zawsze wnosi wszędzie ruinę, że opóźnia nasz pochód ku temu ideałowi sprawiedliwości, który wszyscy wyraźnie spostrzegamy — w dniu tym nie będzie już trzeba obawiać się wojen, bo broń sama wypadnie z rąk uświadomionych ludzi.

Zanim jednak pojęcie braterstwa i solidarności wszechludzkiej przeniknie dusze — a niestety do tego jeszcze bardzo daleko — trzeba organizować to, co już od jutra może zapobiedz wojnie, t. j. sąd polubowny.

Tak, jak osoby prywatne, poróżnione między sobą, muszą zwracać się do sądu, który rozstrzyga między

niemi, tak samo narody powinny być zmuszone do wnoszenia sporów przed trybunał rozjemczy, wybrany przez nie za wspólną zgodą.

Ustrój wewnętrzny tego trybunału jest rzeczą drugorzędą. Idzie przede wszystkim o to, żeby istniał i żeby spór nie był rozstrzygany przez ślepy przypadek na polu bitwy, lecz oddawany do zbadania sędziom, którzy wydadzą wyrok nieodwołalny i których postanowienie będzie miało moc prawa.

Oto, do czego dążyć należy stopniowo, poczynając naprzód od układów rozjemczych specjalnych między dwoma narodami, przechodząc następnie do traktatów ogólnych i wreszcie do utworzenia najwyższego trybunału, który wydawać będzie wyroki w ostatniej instancji.

Potrzeba, abyśmy wszyscy, słowem i pismem, opartem na głębokim i niewzruszonym przekonaniu, starali się za sobą pociągnąć tych, którzy wahają się, którzy się boją, nie rozumiejąc sprawy. Nie pójdzie nikt za nami, jeżeli my, apostołowie pokoju, nie będziemy silnie zdecydowani pomimo wszystko iść naprzód.

Powtórzmy raz jeszcze wyraźnie i głośno, ażeby nas zrozumiano: Nie jesteśmy utopistami, ani marzycielami. To, czego żądamy, jest już urzeczywistnione w połowie, więc nie żądamy rzeczy niemożliwej.

Szlachetna idea rozjemstwa między narodami nie jest chimera. Historia świadczy, że to fakt dotykający, autentyczny i niezaprzeczalny.

Od lat czterdziestu odbyło się już przeszło 200 sądów polubownych; stały się one dzisiaj pozytywną instytucją dyplomatyczną.

Prawdą jest, że proste i naiwne umysły ludu, opętane przez kilku szaleńców, zdeprawowane naiwnymi

tyradami, wyobrażają sobie chętnie, iż zniesienie wojny byłoby hańbą i że prawdziwa wyższość jednego narodu nad drugim przejawia się w wydzieraniu sąsiadowi złota i ziemi. Wszelka chwała utożsamia się dla nich z chwałą wojenną. Marzenie ich, to pochody wojenne pod wodzą awanturnika, króla prawowitego czy uzurpatora, osiwiąłego w bojach, który na koniu białym albo na koniu czarnym, wyzłocony, w długich, błyszczących butach, z pióropuszem na głowie lub w małym kapelusiku, przebiega galopem pola walki, zasłane trupami. Nie mają innego ideału i może nie będzie łatwo zmusić ich do zmiany zdania. Tych fanatyków krwi wylanej — krwi cudzej ma się rozumieć — nie będziemy się starali przekonywać. Nie ustaniemy jednak we wskazywaniu prawdy owym nieszczęśliwym, których tamci wprowadzają w błąd.

Prawda ta w oczy bije. Musi ona i to prędko wyjść na wierzch. Tak, my przekonamy ludy! Tak, my przemienimy dusze dzieci! My rozjaśnimy ciemne myśli mas!

Dzieci ludu, z obu stron Renu, Alp, Dunaju i La Manche'u, dzieci ludu, jeśli cierpicie, to tylko przez wojnę i militarizm. Od was samych zależy, od głosów wyborezych waszych zmienić ten stan rzeczy.

Oto jest Bastylia, którą zburzyć trzeba!

Wówczas naprawdę zabyłśnie jutrzeńka czasów nowożytnych.

Nie będzie to wiek złoty, niestety! — gdyż wielkie reformy pozostaną jeszcze do spełnienia.

Ale jeżeli nie będzie to wiek złoty, to przynajmniej będzie koniec barbarzyństwa.

## XI.

### Co myśliciele mówili o wojnie.

Gdyby powiedziano, że wszystkie koty jakiegoś wielkiego kraju zebrały się tysiącami na szerokiej równinie, a wymiauczawszy się do syta, rzuciły się z wściekłością jedne na drugie i puściły w ruch zęby i pazury, że po walce tej na placu pozostało po dzie więć do dziesięciu tysięcy trupów kocich z każdej strony, które na dziesięć mil wokoło zakaziły powietrze wonią zgnilizny, czy nie powiedziałbyś: „Oto najwstrętniejsze igrzysko, o jakim kiedykolwiek słyszano“? A gdyby to były wilki, wyobraź sobie, co za wycie, co za rzeź! Gdyby zaś jedne i drugie rzekły ci, że miłują sławę, czy wywnioskowałbyś z tego, iż one ją upatrują w obecności na tem pięknem zebraniu, w niszczeniu i tępieniu własnego gatunku? A jeśli byś wreszcie wywnioskował coś podobnego, czy nie śmiałybyś się serdecznie z głupoty biednych zwierząt? Za wojną przemawia jej starożytność. Istniała zawsze, po wszystkie czasy, mnożyła w świecie wdowy i sieroty, odbierała rodóm dziedziców, mordowała braci w jednej bitwie... Po wszystkie czasy ludzie, dla kawał-

ka ziemi mniej lub więcej, ugodzili się między sobą, aby się wzajemnie rabować, palić, zabijać, rżnąć jedni drugich, żeby zaś mózdz to czynić wymyślniej, mądrzej i z większą pewnością, wynaleźli piękne prawidła, które się nazywają sztuką wojenną, przywiązali do wypełniania tych prawideł sławę i dobre imię, a od tego czasu z wieku w wiek starali się przelicytować w sposobach wzajemnego tępienia.

*La Bruyère.*

Co się tyczy wojny, która jest umiejętnością wzajemnego niszczenia się i zabijania nas samych, to chyba nie mogą jej nam pozazdrościć zwierzęta, którym jest nieznana.

*Montaigne.*

Nie jestem mężem stanu... Jestem prostym obywatelem, wysłańcem wielu innych obywateli. Ach! gdybym nie był jedynym w potępieniu i napiętnowaniu tej wojny! A jeśli pozostanę sam, jeżeli głos mój będzie osamotniony pośród szczerku broni i krzyków przedajnej prasy, będę miał przynajmniej tę pociechę nieocenioną, że ani jedno słowo moje nie przyczyni się do roztrwonienia oszczędności mego kraju i do wylania choćby kropki krwi mojej ojczyzny.

*John Bright.*

*(Wyjątek z mowy, wygłoszonej w Izbie gmin przed wojną Krymską r. 1854).*

Morderstwa, popełniane przez jednostki prywatne, bywają karane. A cóż wypada powiedzieć o wojnach,

o tych rzeziach, które nazywamy pełnemi chwałą dlatego, że niszczą całe narody? Namiętność zdobywcy jest szaleństwem, zdobywcy są plagami, bardziej dla ludzkości szkodliwymi, niż potopy i trzęsienia ziemi. Aleksander, zbój od dzieciństwa, tępicieł narodów, uważał za najwyższe dobro być postrachem ludzi.

*Seneka.*

Czy jest coś bardziej śmiesznego nad to, że jakiś człowiek ma prawo mnie zabić na tej tylko zasadzie, iż mieszka po drugiej stronie rzeki i że monarcha jego pokłócił się z moim, chociaż człowiek ten i ja nie mamy do siebie żadnej urazy?

*Pascal.*

Jeżeli jest rzecz straszna, jeżeli istnieje rzeczywistość, przechodząca okropnością marę, to tylko ta: żyć, patrzeć na słońce, być w posiadaniu pełnej męskiej siły, mieć zdrowie i radość, śmiać się dziarsko, dążyć do sławy, którą w całym blasku widzi się przed sobą, czuć w piersiach swoich płuca, które oddychają, serce, które bije, wolę, która rozumuje, mówić, myśleć, cieszyć się nadzieją, kochać, mieć matkę, mieć żonę, mieć dzieci, mieć światło — i nagle, przez czas trwania okrzyku, krócej niż w minutę, zwalić się w przepaść, spadać, toczyć się, miażdżyć, być miażdżonym, widzieć kłosa zboża, kwiaty, liście, gałęzie, nie mózdz się zaciepić o nie, czuć, że szabla jest już niepotrzebna, że ma się ludzi pod sobą, konie nad sobą, szamotać się napróżno, łamiąc sobie kości jakimś wierzgnięciem w ciemnościach, czuć, jak obcas jakiś wyłupia ci oczy, gryźć z wściekłością podkowy końskie, dławić się, wyć,

wić, być pod tem wszystkim i pomyśleć sobie: „Przed chwilą byłem żywy“!...

*Wiktor Hugo.*

Właśnie po potopie ci niszczyciele prowincyi, których nazwano zdobywcami, powodowani jedynie żądzą władania, wytępili tylu niewinnych... Od tego czasu ambicya szafowała życiem ludzkim bez żadnego upamiętania, ludzie doszli do tego, że mordują się bez nienawiści. Szczytem sławy, czynem najpiękniejszym stało się zabijanie wzajemne.

*Bossuet.*

Wojna jednoczy wszystko, co przewrotność może mieć najgorszego — w manifestach swoich, wszystko, co szalbierstwo może mieć najniższego — w dostawach dla armii, wszystko, co zbójectwo może mieć najokropniejszego w grabieży, gwałcie, pustoszeniu, niszczeniu.

*Voltaire.*

Więc to jest obrona przez was droga do nieśmiertelności! Miasta z ziemią równać, pustoszyć kraje, tępić ludy wolne lub strącać je w niewolę! Im więcej zniszczyli, zrabowali, namordowali ludzi, tem szlachetniejszymi i znakomitszymi być się mniemają, zdołają zbrodnie swoje imieniem cnoty. Ten, kto odbierze życie jednej osobie, napiętnowany zostaje jako zbrodniarz... Ale wyróżnij tysiące ludzi, ziemię we krwi zatop, rzeki zatruj trupami, a zasiądziesz na Olimpie.

*Lactance.*

Tak więc jeden człowiek, przez gniew bogów światu zesłany, poświęca brutalnie tylu innych swej próżności! Wszystko musi zginać, wszystko we krwi się pławić, wszystko stać się pastwą płomieni, wszystko, co uniknie żelaza i ognia, paść musi ofiarą jeszcze okrutniejszego głodu, ażeby ten człowiek, co zabawkę sobie czyni z natury ludzkiej, mógł znaleźć w powszechnem zniszczeniu rozkosz i sławę.

Co za potworne słowa! Czy można w zbyt wielkiem obrzydzeniu i w zbyt wielkiej pogardzie mieć ludzi, którzy tak zapomnieli o ludzkości? Nie, nie, nietylko półbogami, ale nawet ludźmi oni nie są!

*Fénelon.*

Człowiek jeden zabija drugiego, żeby mu zabrać woreczek z pieniędzmi; aresztują go, wiążą, skazują na śmierć i przeklinany przez tłumy traci okrytą sromem głowę na wstretnej platformie. Jeden naród zarzyna drugi, ażeby mu ukraść jego pola, jego domy, jego bogactwa, jego obyczaje; rozlegają się oklaski, miasta stroją się we flagi, ażeby przyjąć go, gdy będzie wracał okryty krwią i łupem, poeci opiewają go wierszem podniosłym, muzyka dźwięczy na jego cześć, orszaki mężczyzn z chorągwiami i fanfara, orszaki dziewcząt ze złotemi gałazkami i kwieciami towarzyszą mu, witają go, jakby spełnił dzieło życia i dzieło miłości.

Tym, którzy najwięcej pozabijali, najwięcej nagrabili, najwięcej spalili, przypadają w udziale tytuły grzmiące, honory i zaszczyty najwyższe, mające uwiecznić imię ich po wszystkie wieki. Do chwili terażniejszej, do przyszłości zwracają się z nakazem: „Czcić

będiesz tego bohatera, bo sam jeden więcej uczynił trupów, niżby tysiąc morderców potrafiło". I podczas, gdy ciało nieznanego zabójcy ginie z odciętą głową w grobach nieczemnych, posąg tego, co mordował trzydzieści tysięcy ludzi, wznosi się, otoczony czcią ogólną na placach publicznych, lub spoczywa w cieniu katedr pod grobowcami z poświęcanego marmuru, strzeżony przez świętych aniołów. Wszystko, co doń należało, staje się świętą relikwią i jak na pielgrzymkę dążą tłumy do muzeów, by móżdżek podziwiać jego miecz, jego maczugę bojową, pancerz łuskawy, pióropusz z hełmu, żałując tylko w duszy, że już na żelazie dojrzeć nie można plam krwawych po starych mordach.

*Oktawiusz Mirbeau.*

Wojna, to morderstwo, nauczane i nakazywane ludom przez ich rządy, to morderstwo, oklaskiwane, uherbowane. To morderstwo, wolne od kary i hańby, a otoczone sławą.

Wojna, to niekonsekwencja prawna, społeczeństwo bowiem nakazuje to, czego zabrania, i zabrania tego, co nakazuje; wynagradza to, co karze, i karze to, co wynagradza, wysławia to, co piętnuje, i piętnuje to, co wysławia: czyny są identyczne, nazwy ich tylko różne.

*Emil de Girardin.*

Codzień słyszeć można ludzi poważnych, mających wygląd i reputację rozumnych, jak tonem bakałarskim głoszą, że czterech największych ludzi w dziejach, to Aleksander, Hannibal, Cezar i Napoleon. Co! w naszym wieku, pośród ludzi oświeconych można je-

szcze opowiadać, nie pobudzając do śmiechu, takie stare głupstwa! Zachowano więc jeszcze uwielbienie ślepe i dziecinne dla zdobywców, dla tak zwanego geniuszu wojskowego!

*P. Leroy-Beaulieu.*

Włóż kilkoro szczeniąt do worka i zacznij potrząsać workiem; psięta pogryzą się między sobą, ale żadne nie wpadnie na pomysł ukąszenia ręki, która nimi wstrząsa.

*Harrington.*

Gdy przez myśl moją przejdzie pojęcie wojna, wstręt i przerażenie odbierają mi niemal przytomność, jak gdybym słuchał opowiadania o czarach, inkwizycyi, o rzeczy dalekiej, zakończonej, ohydnej, okropnej, przeciwnej naturze.

Gdy mowa o ludożercach, uśmiechamy się z dumą, głosząc naszą wyższość nad tymi dzikimi.

Któż jest dziki, prawdziwie dziki? Ci, co biją się, ażeby zjeść zwyciężonych, czy ci, co biją się, ażeby zabijać, tylko żeby zabijać? Tłumy prostych żołnierzy, które biegną tam przez pole bitwy, przeznaczone są na śmierć, jak stada baranów, które rzeźnik pędzi drogą. Legną na równinie z głową rozplataną cięciem szabli lub z piersią przedziurawioną kulami; a przecież to są młodzieńcy, którzy mogliby pracować, produkować, przynieść pożytek. Ojcowie ich są starzy i ubodzy, ich matki, które przez dwadzieścia lat kochały ich, wielbiły, jak wielbią matki, dowiedzą się za sześć miesięcy, za rok może, że syn, dziecko, wielkie dziecko, wychowane z takim trudem, z takim kosztem, z taką



miłością, rzucony został w dół, jak pies zdechły, z brzuchem rozdartym przez odłam granatu, zdeptany, zmiażdżony, starty szarżą kawaleryi. Czemu zabito jej chłopca, pięknego chłopca, jedyną nadzieję, dumę, życie? Ona nie wie.

Tak, czemu?

Wojna!... bić się! rżnąć! mordować ludzi!... I my dzisiaj, w naszej epoce, z naszą cywilizacją, z szerokim zakresem wiedzy i wysokim stopniem filozofii, które myśl ludzka podobno zdołała osiągnąć, posiadamy szkoły, gdzie uczą mordować, mordować z wielkiego oddalenia, z doskonałością, z precyzją, dużo ludzi odrazu, mordować Bogu ducha winnych biedaków, którzy nikomu nic złego nie uczynili, obarczonych rodziną!

*Guy de Maupassant.*

Czy jest pociechą dla matki, oplakującej śmierć syna, myśl, że jest druga matka, która straciła dwóch synów?

Czy rolnik, któremu spustoszone pola, znajdzie pociechę w myśli, że o dwieście mil od niego spustoszone pola dwóch rolników?

Czy wszędzie zboże na zagonach, leżących ugorzem, dlatego że i w innych krajach zagony leżą ugorzem?

A jednak, oto na czem opierali ongi swą sławę zdobywcy!

Obarczyłem was nadmiernie podatkami, z pól waszych uczyniłem szachownicę, na której grałem synami waszymi!

Ale bitwa skończona; oto dwa stosy trupów: który z nich większy?

*Alfons Karr.*

Głód nauczył barbarzyńców mordować, popchnął ich do wojen, do najazdów. Ludy zaś cywilizowane są jak psy myśliwskie. Zwyródniały instynkt podnieca je do niszczenia bez pożytku i bez powodu.

Bezsens wojen nowożytnych przybiera nazwy interesów państwowych lub narodowościowych zasad, równowagi europejskiej, wreszcie honoru.

Ten ostatni powód jest może ze wszystkich najdziwniejszy, bo niema jednego narodu na ziemi, któryby nie okrył się wszelką możliwą sromotą. Niema ani jednego między nimi, który nie przeszedłby przez wszystkie upokorzenia, jakie los zgotował może nędznej gromadzie ludzkiej.

Jeżeli jednak ludy mają jeszcze jakiś honor, to dziwnym zaiste sposobem podtrzymywania go jest wojna, która obejmuje wszystkie klęski, mogące spaść na głowę jednostki: pożar, rabunek, gwałt i morderstwo.

*Anatol France.*

Wiem, co to jest prawo pokoju: dotrzymywać słowa i pozwalać wszystkim ludziom korzystać z praw przyrody, ale nie wyobrażam sobie, co to być może prawo wojenne. Kodeks morderstwa wydaje mi się dziwnym wymysłem.

*Voltaire.*

Wierzę głęboko, że nauka i pokój osiągną w końcu tryumf nad ciemnotą i wojną, że ludy porozumieją

się między sobą nie dla niszczenia, lecz dla budowy i że przyszłość należeć będzie do tych, co najlepiej się zasłużą cierpiącej ludzkości.

*Pasteur.*

My zwyciężeni dnia wczorajszego, w których uczucie zranionej dumy nie zdołało zaćmić rozumienia prawd wiecznych, śmiemy powiedzieć w twarz świata, widzowi naszych niedawnych klęsk: pokój jest dobrem, wojna jest złem.

Ukochana nasza ojczyzna nie może dać świetniejszego dowodu swego odrodzenia, jak nie poświęcając urazom swoim sprawy cywilizacji. Niechaj wzgardzi siłą, jako środkiem odwetu, którego czeka; jedynie godnem jej jest szukać w panowaniu prawa wynagrodzenia krzywd swoich i powrotu wszystkich swych dzieci.

*Karol Renouard.*

## XII.

### Sen wojenny \*).

Rozciągnął się na łóżku i usnął.

Nagle wydało mu się, że słyszy silny odgłos kroków na ulicy: stąpanie równomierne, regularne, rytmiczne, jakby wojska w marszu. Wstał, podszedł do okna i otworzył je.

Przechodzili rzeczywiście żołnierze. Noc nie była ciemna, światło księżyca lśniło na błyszczących bagnietach, pośród szeregów można było odróżnić oficerów na koniach, sztab główny, komendantów, dowódców.

Szli prędko zwartą masą.

Zdawało się Wiliamowi, że ulica rozszerzyła się i że szereg każdy więcej zawierał ludzi, niż pozornie na tej przestrzeni pomieścić się mogło. Nie zdziwił się tem jednak.

---

\*) Autor tej książki pod naciskiem myśli, które od dawna nie dają mu spokoju, usiłował niegdyś odmalować cząstkę okropności wojny. Szkic ten wydaje się mu stosowny do zamieszczenia tutaj.

W blasku księżycy dostrzegał twarze żołnierzy. Były młode, bardzo blade, raczej dziecinne, niż męskie. Nie wydawali żadnego okrzyku, szli w milczeniu.

Jednakże głuchy łoskot ich kroków wstrząsał szymbami; to właśnie drżenie ściągnęło Wiliama do okna. Szli mimo ciągle, nieustannie.

Po piechocie — kawalerya. Konie szły rzędem tak szerokim, że trudno można było rozróżnić sylwetki najbardziej oddalonych. Głowy dragonów, piersi kirasyerów pod promieniami księżycy dawały odbłaski srebrne.

I tak wciąż, bez przerwy mijali konie i ludzie. Po tych przychodzili inni i jeszcze inni.

Potem klusem jechać zaczęła artylerya z armatami, lawetami, skrzyniami z amunicją. Przyśpieszali kroku, a od pochodu tego drżała ziemia. Cały tłum milczał. Nie było słyhać ani sapania koni, ani komendy oficerów, ani rozmowy żołnierzy.

Szli mimo, ciągle, nieustannie.

Ulica rozszerzyła się. Stała się podobną olbrzymiej drodze bez końca, a w dali, jak tylko okiem dojrzeć, błyszczały bagnety, iskrzyły się kaski, połyskiwał śpiz armat.

Po tych przechodzili inni i jeszcze inni, a zawsze były to te same twarze dziecięce, bladawe, bez zarostów.

Tuż pod murem leżał kamień; omijając go, niektórzy żołnierze, dla pośpiechu, biegli; w chwili gdy mijali Wiliama, czując może, że on się tam znajduje i patrzy na nich, zwracali do niego twarze, jakby z prośbą.

Wówczas mógł Wiliam przypatrzeć się ich obliczom. Męka malowała się w ich oczach, a rysy były ściągnięte przestraczem.

Był między nimi jeden, który w rozpacz otworzył usta, jakby do okrzyku, lecz Wiliam nic nie usłyszał.

W miarę jak mijali, przyśpieszali kroku.

Teraz masa piechurów biegła w takim ścisisku, że widać było tylko głowy i kepi, potem znów kawalerzyści w galopie, potem działa i artylerzyści w pędzie.

A olbrzymia droga rozszerzała się coraz bardziej i stawała długą, długą, zalana całą tą tonią ludzką, która toczyła się jak fale morza. Nie było widać końca, a fale następowały po sobie tak szybko, że trudno było przypuszczać nawet, iż koniec gdzieś istnieje.

Jak długo trwał ten straszliwy wylew ludzi? Godzinę? Dwie godziny? Dwa dni? Rok może?

Nagle Wiliam uczuł, że ktoś lekko pociąga go za połę ubrania. Odwrócił się gwałtownie. Znajdował się już nie w swoim pokoju, lecz na szerokiej równinie tu i owdzie zjeżonej pagórkami. W głębi był parów, za nim wzgórze cokolwiek wyższe od innych, poza wzgórzem księżyc oświecał lśniąca powierzchnię jakiejś wody.

Wiliam, starając się połapać myśli, które ślizgały się w jego pamięci, zaczął poznawać tę równinę, ten parów, to morze dalekie. Czy to nie brzegi rzeki Amuru, gdzie kupami leżą zwalone trupy chińskie? Przez mgnienie oka w mózgu jego błysnęła myśl, że wszystkie te wizje są poprostu snem, jednakże kontury przedmiotów tak były wyraziste, iż trudno było wątpić o ich rzeczywistości; spostrzegł najdokładniej wszyst-

kie szczegóły kamieni na pół zagłębionych w bajorach błota i śniegu, a porywy wiatru siekły mu twarz.

Zresztą gwałtowna żądza zobaczenia i dowiedzenia się wszystkiego paraliżowała zupełnie jego wolę.

Daleko, na krańcach równiny, słyhać było głuchy, monotony grzmot.

„Ależ to działa!“ — wyszeptał Wiliam.

Wszędzie na prawo, na lewo, na przedzie, z tyłu, na północy, na południu, na wschodzie i na zachodzie szedł powietrzem huk działowy.

„Wielka bitwa!“ — rzekł głośno.

Chciał postąpić krok naprzód, ale ponownie uczył coś czy kogoś, co pociągnął go w tył.

Pochylił się i zobaczył człowieka, leżącego na ziemi, który nań patrzył; kurczowo zaciśnięta dłoń jego mocno trzymała Wiliama za ubranie, oczy były zamglone, twarz biała.

Wiliam poznał teraz młodego żołnierza, który przed chwilą przechodząc pod jego oknem, chciał krzyknąć. Twarz powalonego wyrażała straszliwe cierpienie i zdawała się błagać zmiłowania. Wiliam wziął go za rękę, żeby mu pomódz podnieść się, ale w tej samej chwili uczył, że ręka ta miażdży się w jego dłoni z chrzęstem łamiącej się kości, na podobieństwo gniecionych razem łupin orzechów. Wiliam szybko usunął swą rękę i przy świetle księżyca ujrział, że jest cała zbroczona krwią.

Cofnął się, nie mogąc opanować pierwszego odruchu przerażenia, gdy wtem uczył się dotkniętym w kolano.

To znów był żołnierz i również ranny. Utkwił w Wiliamie wzrok smutny, bardzo łagodny i bardzo smutny. Jego żołnierska kapota była na piersi roz-

darta a przez otwór za każdym oddechem wypływał cienki strumyczek krwi. Ranny, unosząc zlekka głowę, ciągle spoglądał na Wiliama nieruchomymi oczyma. Potem, nagle, oczy przymknęły się, głowa opadła, twarz stała się sina, rysy zatarły się momentalnie... tak że teraz była to głowa trupia z szyderczo wyszczerzonymi białymi zębami, trójkątną dziurą w miejscu nosa i dwoma ciemnymi oczodołami. Ustrojona w czerwone kepi, zbyt wielkie, jeszcze zaopatrzone numerem pułku 130, czaszka ta czyniła wrażenie dziwaczne i straszliwe zarazem.

Wiliam przerażony chciał uciekać, ale noga jego zawadziła o jakieś ciało, z którego wyszedł jęk cichy, głęboki a taki bolesny, że zadrzał. Był to oficer, jak wskazywał mundur. Leżał na skrwawionej ziemi, lecz twarzy nie można było rozpoznać, gdyż cała stanowiła jedną wielką rozwartą ranę.

A działa ciągle grzmiały w oddaleniu, tym samym ponurym przytłumionym rykiem, i strzały następowały po sobie coraz szybciej.

Wówczas dopiero, rozglądając się naokoło, zauważył Wiliam przedmioty, których przedtem nie widział: potrzaskane armaty, konie z wypuszczonymi jelitami, tuż koło niego na szczątkach skrzyni z nabojami, które musiały eksplodować, leżało, już nieruchomo, trzech artylerzystów, ubrania ich i twarze były spalone, czarne od prochu, poszarpane zaś krwawe członki zwiślały bezładnie. Jęki posępne, głuche skargi dolatywały ze wszech stron.

Chciał iść dalej, żeby widzieć, dowiedzieć się, zrozumieć, ale postąpiwszy naprzód, potracił jakiegoś rannego, który głośno krzyknął. Miał brzuch otwarty, a wnętrzności wybiegłe rozlały się po błocie.

Wszędzie naokół niego pełno było trupów, rannych, umierających, kości połamanych, wycia, wstehnień, łkań! Wszystkō było zmieszane, żołnierze, oficerowie, konie, wszystkie stopnie, wszystkie pułki, wszystkie narody; żołnierze rosyjscy w swych wielkich szarych szynelach, ułani, husarzy, lansyerzy, bersaglierowie, żuawy, turkosi, dragoni, kirasyerzy, piechury zwłaszcza.

Ażeby iść naprzód, trzeba było przechodzić przez ciała; pomimo wszelkiej ostrożności Wiliam ciągle o coś potracał, a za każdym razem z ciemności wznosiła się skarga, bluźnierstwo, zgrzyt zębów.

W dali, jak okiem sięgnąć, olbrzymia płaszczyzna pokryta była ciałami ofiar; nagromadzenie tego było straszliwe; ludzi, którzy niedawno przechodzili ulicą przed jego mieszkaniem, widział teraz powalonych na ziemię, a znajdowali się tam wszyscy, bo równina nie miała końca.

Teraz, nie troszcząc się już o jęki i płacze, Wiliam biegł, byle uciec przed potwornym widokiem. Nogi jego grzęzły w błocie czerwonym, przekleństwa rozlegały się wokół niego, bo miazdżył podarte członki, rozgniatał głowy krwawe, obcasem stapał po rozwartych piersiach. Tkwiła w nim już tylko myśl jedna: uciekać, nie widzieć, nie słyszeć. Daremnie jednak szedł, daremnie biegł; równina ciągnęła się bez granic, cała zasłana tysiącami i tysiącami ciał.

Naraz zauważył przed sobą wyniosłość. Wyglądała na piramidę dość prawidłową. Prawda, on już kiedyś widział tę piramidę! Przypatrując się, spostrzegł, że była ułożona nie z kamieni, lecz z głów ludzkich, uciętych przy tułowiu, powykrzywianych, skrawionych.

Bijąc w skrzydła i wyciągając szyje, coraz przybywały wielkie sępy, inne zaś, już znajdujące się na miejscu uczty, postukiwały dziobami w kość, wypróżniając orbity.

W tej chwili, nie wiedząc sam czemu, spowodowany wrażeniem nieodpartem, jakby zgadując, że coś znajduje się z tyłu jego osoby — odwrócił się. Ujrzał inną piramidę, złożoną już nie z głów, ale z ciał ludzkich, a tak wysoką, iż ginęła w niebiosach, jak góra kolosalna, wyższa od wszystkich gór ziemskich. Białe obłoki, oświecone księżycem, kryły jej wierzchołek. Wiliam zrozumiał natychmiast, że ranni i umierający, rozsypani przed chwilą na płaszczyźnie, utworzyli teraz tę górę. Jakim sposobem? Nie umiał sobie na to odpowiedzieć. Ale to byli ci sami napewno; poznawał ich, rozróżniał te same uniformy, słyszał te same jęki. Kruki, sępy wirowały po bokach tej dziwnej wyniosłości, a woń biła od niej taka straszna, że Wiliam poczuł się słabym.

Miał już upaść, gdy wtem potężna ręka schwyła go za ramię.

Przy nim stał wysoki mężczyzna, owinięty czarnym płaszczem. Wiliam chciał krzyknąć: „Wuj Michael!“ ale człowiek poważnie położył palce na ustach, rozkazującym gestem, dając mu do zrozumienia, by milczał.

Wiliamowi słowa zamarły w gardle. Był to rzeczywiście wuj Michael, lecz błady, tajemniczy, o ruchach powolnych, pełen surowej godności.

Uczynił gest i wszystko znikło, a Wiliam znalazł się na szczycie wieży, pośrodku olbrzymiego miasta.

Nie dziwił się już teraz, lecz chciwie wpatrywał w widok, rozpościerający się w dole.

Pod stopami jego widać było wszystkie domy miasta, ustawione szeregami jedne obok drugich, bogate i ubogie, wielkie i małe, składające ulice, aleje, bulwary. Wszystko obleczone było pozorem głębokiego spokoju. Zdawało się, że to miasto ciche, spoczywa w śnie słodkim, gdy nagle mocą jakiegoś straszliwego jasnowidzenia umysłu Wiliam został widzem wszystkiego, co działo się w każdym z tych domów.

Mieszkańcy chodzili tam i napowrót, z jednego pokoju do drugiego; dokładnie rozróżniał ich rysy i ruchy, nie słyszał jednak nic.

W domu najbliższym płakała młoda kobieta, koło niej spało niemowlę w kolysce, drugie dziecko niewyżej ośmioletnie, zbudzone płaczem matki podniosło się w koszulce i płakało również. chociaż nie wiedziało dlaczego.

Nieco dalej, w nędznym mieszkaniu, staruszka porażona we łzach klęczała przed fotografią oprawną w ramki, którą Wiliam mimo odległości potrafił rozpoznać: był to żołnierz, który krzyknął, ten, którego rękę ujął był w swoją. Nieszczęśliwa stara z jękiem biła czołem o ziemię.

W sąsiednim domu zgromadzona była bardzo liczna rodzina. Starzec, kobiety w ciężkiej żałobie i dzieci w różnym wieku. Siedzieli, otaczając wokoło stół, na którym rozłożony był mundur podarty, zbrukany krwią i błotem. Wiliam go poznał, należał do pułkownika, którego bolesne westchnienie obilo się o jego uszy na pobojowisku. Starzec drżącym głosem czytał głośno list bezładny, a wszyscy w osłupieniu słuchali.

W innych domach powtarzały się też same, prawie identyczne sceny. Różnica polegała tylko na zbyt ku lub nędzy.

Ale wszędzie, zarówno w pysznych pałacach, jak w norach, o drzwiach źle przystających, oświetlonych lampą zakopconą, panowała rozpacz i łzy. Dzieci czeptały się, płacząc, czarnych sukien matek, biedne staruszki zgrzybiałe, starcy o trzesących się głowach ci cho szlochali, z oczyma utkwionymi w ognisko, młode dziewczęta, samotne w pokojach, tonęły we łzach, łamiąc ręce. Nic, tylko łzy, łzy i łzy!

Później zobaczył Wiliam inne miasto, nie mniejsze od pierwszego, które zjawilo się nagle, i wydało mu się zarazem, że podtrzymywany przez Michaela może swobodnie przebywać przestrzeń, unosząc się nad ziemią w pewnej od niej odległości. Pod sobą widział wijące się rzeki z dopływami, wzdłuż brzegów ich rozrzucone były miasta i wsie, a w każdym domu kobiety, starcy i dzieci płakali.

Michael i Wiliam żeglowali dalej w powietrzu, mijając wzgórza, przepaści, doliny. Nawet na stokach gór odosobnionych, w samotnej lepiance, zapomnianej w głębiach lasów, gościła też sama rozpacz.

„Kiedyż się to skończy?“ — pytał Wiliam. Bo płynęli, płynęli bezustannie i ciągle płacz, łkania, jęki, ręce wzniesione ku niebu, boleści nieme lub hałaśliwe, gesty gniewu lub rezygnacyi przesuwały się przed ich oczyma.

Ból ostry wstrząsał całym światem.

Oto teraz Niemcy pełne miast ludnych, a w każdym domu niemieckim, jak w każdym domu fran-

cuskim, ciągle w tem samym świetle tajemniczem, wi-  
dać było tylko łyzy, łyzy i łyzy.

Wtem Wiliam uczuł nagle, że z szaloną szybko-  
ścią leci w dół i że grozi mu śmierć od upadku: ręka  
Michaela przestała go podtrzymywać.

Michaela już nie było.

Wiliam krzyknął przeraźliwie i obudził się.



72541

## SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Nota tłumacza . . . . .	5
Wojny i pokój . . . . .	7
Przyczyny wojen . . . . .	9
Skutki wojen . . . . .	23
Odpowiedź zwolenników wojny . . . . .	41
Czy zniesienie wojny jest utopią . . . . .	69
Zasada sądu rozjemczego (L'arbitrage) . . . . .	79
Międzynarodowe sądy rozjemcze . . . . .	95
Instytucje pokojowe . . . . .	105
Cesarz i papież . . . . .	111
Co mają czynić wrogowie wojny?— Wiele zwolennicy pokoju . . . . .	117
Wnioski . . . . .	131
Co myśliciele mówili o wojnie . . . . .	135
Sen wojenny . . . . .	145